RUSAŁKA.

RUSAŁKA

NA

ROK 1842.

WYDANA

PRZEZ

Alexandra Karola Groze.

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1842.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno 1842 r. 14 Kwietnia.

Cenzor, Radźca Kollegialny

Jan Waszkiewicz.

Wyprawa do Chocinia.

Wyprawa do Chocinia.

(Wyjątek ze wspomnień nowych.)

Wielu uczonych zastanawiało się nad rozchodzeniem się dźwięku w powietrzu, nad biegiem światła, nad szybkością z jaką płynie i odpływa materja elektryczna, żaden, o ile wiem, nie ułożył formuły, według któréj możnaby wnioskować o rozchodzeniu się wieści. Gdyby to nie było zuchwalém, rzekłbym, że wieść każda rośnie w stosunku kwadratów odległości od miejsca, którego się

tycze i w stosunku liczby osób, które ją sobie podają. Ale na co nam te formuły, mówmy o rzeczy jak się miała.

Działo się niedawno, bardzo niedawno— uciekłem od kłopotów gospodarskich odetchnąć o kilka mil od domu u przyjaciela Kazimierza; może też trochę i od książek uciekałem, bom ich tylko wziął parę do podróżnej torby, i jakby dla przyzwoitości zapakowałem *Mindowsa* także, którego jednak nie tknąłem potém, choć go wiozłem na przypadek natchnienia (a między nami mówiąc wcalem się tego przypadku nie spodziewał).—Wyjechaliśmy skwarnym dniem w drogę, ja szczęśliwy, że dni kilka myśleć nie będę o gospodarstwie, o fabrykach, o wapnie i cegle, on trochę niespokojny o żonie i dzieciach, które odjechał od dni kilku tylko. Ale któryż poczciwy człowiek, nie doświadcza niespokojności takiéj, nawet powracając z przejażdżki w pole? Jechaliśmy więc i opisywać wam nie będę mojéj całéj podróży.—W *Łucku* pokazałem już towarzyszowi podróży, chmurę na północy, z któréj się grzmotów spodziewałem; ledwieśmy dojechali do *Jarosławicz*, lekki wprzód obłok wzniósł się straszliwie czarny, oświecony dziwnie zachodzącém naprzeciw słoń-

cem, grzmiąc, hucząc i niekiedy złocistą przerywany błyskawicą. Zdążyliśmy do gospody, pozatykali kominy, zamknęli okiennice, i posilać się zaczęli, oczekując burzy. Wśród rozmów różnych, Kazimierz wspomniał mi kilka miejsc, niedalekich jego wioski, a może wartych widzenia. Mówił mi o *Hulczy*, o *Peredylu*, o *Dermaniu*, gdzie dotąd celę Hryszki Otrepiewa ukazują, wreszcie o *Chociniu* wspomniał.

— W *Chociniu*, mówił, na starym zamczysku jest pieczara długa w ziemi wykuta, w której była nieboszczka pani K...— Wejście do niej ma być zawalone, jednakże wcisnąć się można, ściany jej okryte być mają napisami, których ani Pani K... ani nikt dotąd wyczytać nie mógł!

— A! podchwyciłem, pojedziemy tam! pojedziemy koniecznie, odkopiem wejście, odrysujem pieczarę, zdejmiem *fac simile* napisów.— Kto wie, może Staro-Słowiańskie, może runiczne, bo znam położenie *Chocinia* nad Horyniem, jest to odwieczna sadyba! i uściskałem Kazimierza pełen radości i nadziei, gdy grzmot się odezwał, bryczka zahuczała, ukazała się błyskawica i Ojciec Franciszkan z *Międzyrzecza Ostrożskiego*, który nas powitał:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Musieliśmy dla burzy i Franciszkana zapomnieć o *Chociniu* i jego pieczarze tajemnic pełnej. Wszczęła się rozmowa, w której fenomena meteorologiczne teraźniejszego roku największą grały rolę.— Opisywaliśmy sobie wzajemnie straszliwe burze, które w Kowelskiém i Pińszczyznie, tyle zrządziły szkody, tymczasem ozwal się grzmot i turkot znowu, trzeci podróżny zawitał. Był to, jak sam mówił, zdaleka bardzo, bo zpod *Warszawy* aż; cudzoziemiec, mocno przejęty swą dostojnością ucywilizowanego człowieka(gdyż nas za bajbardzo, za trochę powernixowanych barbarzyńców uważał, on, co widywał balet i jadł Serdelki warszawskie!). Rozmowa naturalnie zawróciła się w inszą stronę i po półgodzinnéj gawędce, w ciągu któréj oszczędny Warszawiak dozwolił się wodzie nastawionéj na herbatę przegotować, byle nas na nią nie prosić, rozeszliśmy się, a jego zostawili z Franciszkancm.— Ledwieśmy wyszli usłyszeliśmy wołanie na chłopca i przygotowanie do herbaty, którą ucywilizowany człowiek raczył utraktować Xiędza towarzysza swego, dając mu jeszcze w dodatku nieocenione przepisy preparowania tego

napoju, w zamian za które uczony Xiądz prawił podróżnemu o mieście *Łucku* i historji Wołynia, jak powiadał z Kromera, ale mnie się zdaje, że gdyby to Kromer słyszał, byłby się relacji zaparł niezawodnie.

Ale otoż prawim o rzeczach nienależących do nas może, powinnibyśmy śpieszyć do celu, mówić już o — poczekajcie łaskawi czytelnicy; mnie się zdaje, że przechadzka bez celu, w której się trochę błądzi i chwilę nie wie dokąd idzie, ma swoje wdzięki, wystawcie więc sobie, że jesteśmy właśnie na takiej przechadzce, bo ja mocno zdecydowany jestem, prawić wam najwięcej o tem, co do rzeczy nie należy. Taka jest moja determinacja, i powinniście mnie podziękować, że was o tem uprzedzam, bo inaczej wzięlibyście akcessorja za przedmiot główny. *Ad rem* więc jak mówili starzy, *revenons a nos moutons*, jak mówiła P. Deshouillères albo *a nos cotons*, jak świeżo powiedział G. Sand — to wszystko jedno.

Słuchając melodyjnego brzęku łyżeczek w szklankach herbaty, której pragnęliśmy, a za żadne pieniądze dostać nie mogli, przeklinając rachuby cywilizowanego człowieka, który nam tego nektaru udzielić nie raczył, położyliśmy się spać, bo burza, zmieniwszy

się w pochmurny tylko wieczór, potwierdziła prawdę przysłowia dawnego, że z wielkiej chmury — bywa najczęściej nic. Położyliśmy się spać.— Ale winszuję cywilizowanemu człowiekowi i Xiędzu, co wyspać mogli, my z moim towarzyszem podróży, mimo niezmyślonego do snu powołania, nie mogliśmy zdrzemnąć się nawet, z powodu naprzykrzonej gościnności, tych *Meister Floh*, których Hoffman upoetyzował wprawdzie, ale przez to ich ukąszeń lżejszemi nie uczynił. Wszyscy ci zacni *Mistrze* witali nas, w swéj gospodzie tak serdecznie, że nareszcie Kazimierz porwał się i spytał mnie, czy się odważę jechać nocą daléj?

Trzeba wiedzieć naprzód, że noc była chmurna, powtóre, że zostawała jeszcze wątpliwość, czyli się zkąd burza nie zerwie, potrzecie, że ktoś z nas dwóch dość był bojaźliwy.— Odpowiedziałem, że pojadę. Kazaliśmy konie zaprządz i daléj ku Dubnu w drogę.

Ale spytacie się mnie znowu pewnie, dla czego to opisuję?— Zmiłujcie się dozwólcie mi trochę pohulać bez celu, tak dawno już kréślę i przekréślam tę nieszczęsną *Historję Wilna*, która podobno zawsze będzie płótnem Penelopy dla mnie, że mi się chce pu-

ścić trochę pióro i swobodnie wyhasać — i co wam to szkodzi? Byleście czytali, nie jednoż wam o tém czy o owém, Kalendarz Berdyczewski, czy Pomysły Herdera! O! znam was moi czytelnicy, wy czytacie dla spokojności sumienia, aby powiedzieć, żeście czytali, aby pokazać żeście uczeni, nie dla tego żebyście czytać umieli lub lubili, czytajcie więc co daję, albo wreszcie udawajcie tylko, że czytacie, róbcie sobie co chcecie, a ja ciągnę dalej.

A na czémżeśmy stanęli? — Wyjeżdżamy z *Jarosławicz* — noc chmurna i tylko nadzieja xiężyca i wiatr już chłodny, i pusto i smutno, i gościniec przed nami pnie się po górach bielejąc. Jedziemy w milczeniu, potém rozpalamy fajki, zaczynamy rozmowę i tak mijamy starożytne miasto *Murawicę*, dziś z kilkudziesiąt domków, a teraz karczem i bożnic złożone, pod którém wały horodyszcza dawnego leżą w błocie od lat kilkuset, mijamy piękny *Młynów*, w którym stajem szukając źródlanej wody, aby się jéj napić. Z łaski Priesnitza pijemy teraz zimną wodę o północy i drżąc od zimna dla ogrzania się! Wyznajcie, że gdy małpy wyginą zupełnie, człowiek jeszcze doskonałe będzie mógł dać o nich wyobrażenie. Uwie-

rzycież temu, że źródło wyszło i wodyśmy nie dostali. Może też być, że zły duch jaki, zły duch allopatycznego rodzaju, źródło na chwilę przykrył dłonią, abyśmy się z niego nie napili.—Dość że źródła nie zastaliśmy w domu i pojechali dalej mijając bielejący w nocy pałac, ogród, stawy, i znowu drapiąc się gościńcem ku *Dubnu.*—Daruję wam opisanie tych kilkunastu wiorst drogi do *Dubna*, znajcie moją wspaniałość, te kilkanaście wiorst, mógłbym, gdybym tylko chciał opisywać, przez pięćdziesiąt kartek, w dziesięciu najmniej rozdziałach, i tak: Rozdział pierwszy byłby o publicznych drogach w kraju i za granicą, drogach żelaznych, drogach brukowanych, kommunikacjach lądowych i wodnych w ogólności i w szczególności, z dodatkiem uwag Statystyczno-Politycznych. Rozdział drugi: O podróżach i podróżnych, począwszy od Cooka, aż do Sterna i Dumasa w ogólności. Rozdział trzeci: O podróżach sentymentalnych, bez celu, fantastycznych i t. p. w szczególności. Rozdział czwarty: O świetle xiężyca, uważanym pod względem jego wpływu na poetów. Rozdział piąty: O górach i pagórkach. Rozdział szósty, mógłby traktować o powozach, poczynając od telegi aż

do kocza i karykla. Rozdział siódmy: o koniach, ich rasach i t. p., a w szczególności o koniach pociągowych. Rozdział ósmy, mógłby opisywać wrażenie podróżnego zbliżającego się w nocy ku miastu. Rozdział dziewiąty, traktowałby o wypadku właściwym fantastycznym podróżnym, którzy jak myśmy brali, biorą często słupy drożne za rozbojników, i ognie odpoczywających z mażami Czumaków za ogniki smętarne. Rozdział dziesiąty wreszcie, obejmowałby opisanie podróży, począwszy od lazaretu za miastem aż do bramy Łuckiej, w której stojąca straż krzyknęła na nas przeraźliwie:— Kto jedzie??— W tym rozdziale zastanowićby się wypadało nad trzykrotném przechyleniem karjolki na prawo, i charakterem architektonicznym starego muru, po lewéj stronie drogi ciągnącego się, którego arkady nie są ani krągłe, ani elliptyczne, ani strzałowate, ani żadnego mającego kształtu w klassyfikacjach architektonicznych; i z tego powodu możnaby o nich napisać tyle przynajmniéj, ile napisano o Architekturze *Alhambry* i murach cyklopów.

Ale wszystkiemu temu damy pokój, jedynie przez wzgląd na czytelników, przez ojcowską litość naszą nad niemi.

Otoż jesteśmy w *Dubnie*. *Dubno* arcy zacne miasto powiatowe, cały rok spokojne, żydami zasiane, z rynkiem znakomicie brudnym, z ratuszem ogromnym, i dla tego przez jedenaście miesięcy w roku pustym, z hauptwachem osadzonym topolami, z kilkuset domami zajezdnemi, z ulicą, która się zowie szeroką, a jest wązką, drugą, która się zowie panieńską, a jest, nie powiem jaką.—*Dubno* ze starym swym Zamkiem, przypominającym Xiążąt Ostrogskich, Tatarów i Kolbuszowską tranzakcję,— *Dubno* było przed nami. Wjeżdżaliśmy—spało snem miast sprawiedliwych, gdzieniegdzie tylko w oknach domów zajezdnych dogorywały świeczki, oznajmujące podróżnym o niezajętych mieszkaniach. —Na szarem niebie nocy czerniały dachy domów, wieże Kościołów, w rynku bawiły się psy i koty, szumiały topole pod ratuszem, kołysały się majestatycznie znaki cyrulickie i szewskie.

Było po północy, a jednak gdy Karjolka nasza zaturkotała w rynku, dwóch żydków przebudzonych ze snu wybiegło zapraszać, abyśmy zajechali do zajezdnych domów, które protegowali. My jednak udaliśmy się dalej nająć już zapewniony nocleg, i zaledwie przybyli, padliśmy na łóżko i usnęli znużeni.

Nazajutrz, jak po wszystkich Wołyńskich miasteczkach, co się niechybnie każdemu podróżnemu trafia, oblegli nas kupczyki cisnący się wszędy, szparami w ścianach, oknami, drzwiami, nie zaręczam nawet czy który nie wsunął się kominem, żeby utargować dziesięć groszy. Jeden przynosił kawony baltskie, drugi zalecał zapałki fosforyczne, trzeci szuwax doskonały, inny wspaniałe miotełki do sukień i t. d. i t. d., trzeba się prawie było bić z niemi, aby się ich pozbyć.

Wyjechaliśmy poźno z *Dubna* zaopatrzeni w *paxitos*, wagstaff, kawony, siarniczki i tym podobne sprawunki, któreśmy zrobić musieli, częścią z potrzeby, częścią dla odkupienia się od żydów. Kupiłem nawet tuzin ołówków od starego kramarza, który zdawał się zdecydowany nie puścić i nas z *Dubna*, dopókibyśmy nie wysłuchali regestru wszystkich jego towarów, jakich się chciał koniecznie pozbyć.

Ale otoż jedziemy, mijamy *Warkowicze*, *Curków*, ukazuje się sosnowy gaik Uizdecki, *Kozie góry*, trzy schodzące się trakta z *Dubna*, *Ostroga* i *Równego*, jesteśmy u celu podróży.

Przybywszy bawić się i odpoczywać, kil-

ka dni w słodkiém zapomnieniu wszelkich kłopotów, z paletą w ręku, z pędzlami, za trójnogiem, malowałem nie mogąc się nasycić roskoszą wylewania na płótno i deski wszystkich myśli przychodzących do głowy. Tam sadziłem Cerkiewkę naszą Wołyńską otoczoną ludem, tam krzyż nad drogą w pustym krajobrazie, przeciętym tylko błyszczącém jeziorkiem. Malowałem szczęśliwie, swobodnie, a tymczasem dnie upływały i Kazimierz przypomniał, czy nie pojedziem do Chocinia?

Jak tu nie jechać, pytam? gdzie są napisy do wyczytania, pieczara do zwiedzenia? Ale jak znowu odepchnąć niewdzięcznie paletę i pędzle od siebie, które tylą roskoszy nas poją?

A więc pojedziem do *Chocinia* — pojedziemy w poniedziałek—W poniedziałek! — Na cóżeśmy ten złowróżbny dzień obrali? Kto widział wyjeżdżać w poniedziałek?— Na co było wyjeżdżać w poniedziałek? Niestety, słuszne te reflexje, jak wszelkie reflexje, przyszły nam zapoźno, po czasie!— Dzień był pogodny, ale ledwieśmy wyjechali za wrota, wiatr powiał zimny i niebo się zachmurzyło — zły znak. Kobieta z próżnem wiadrem przeszła nam drogę — je-

szcze gorzej! Jedziemy jednak i w posępnem milczeniu mijamy *Glinsk* z wysoką górą, *Aresztów*, zbliżamy się do *Raszowego Kąta*.—*Równe* przed nami, *Chocień* niedaleko.—W *Raszowym Kącie* tradycja, że tam niegdyś krył się, czy był trzymany jakiś Basza, są tu nawet ślady zamczyska, ale gdzież na Wołyniu poszukawszy horodyszcza, wału lub mogiły nie znajdziesz?—Otoż i w stawie przeglądające się *Równe*, piękne miasteczko, uśmiechające ci się zdaleka, zdradliwie, choć w niém tylko nędzny traktjer i mizerna cukiernia, gymnazjałna szkoła i stary pałac.—Jestże czego się uśmiechać!—A jednak rzecz dowiedziona, że *Równe* się uśmiecha.

W *Równém* mieliśmy wyszukać protekcji, aby za wstawieniem się czyjém i poręką o naszéj konduicie, dozwolono nam było widzieć Chocińską pieczarę. Ale trafiliśmy jak trafiają wszyscy skazani na wyjeżdżanie w poniedziałek. Był to dzień solenny examinu uczniów, cały świat okoliczny płynął na examin, właściciel *Chocinia* także. Ledwieśmy potrafili dopytać się go i uzyskać coś naksztalt dozwolenia. Po drodze kupiliśmy dwie świéce woskowe, librę papieru, ołówki i siarniczki—w nadziei, że

to wszystko zda się w sławnej pieczarze, którą oświecić, odrysować i napisy w niej znajdujące się zdejmować potrzeba będzie. Ale o nadzieje ludzkie! o wyjazdy poniedziałkowe, o wiadro próżne! biegliśmy się oszukać i zawieść.

Nie łapmy jednak ryb przed niewodem, i nie zaczynajmy od końca. O pieczarze Chocińskiej małośmy się dowiedzieli w *Równém*, nikt jej nie znał, jedni exystencji zaprzeczali, drudzy powiadali prozaicznie, że to był loch na kartofle i buraki. Ale ktoby takiemu tłómaczeniu uwierzył!!

Jedziemy, mijamy piękny *Szpanów* na prawo, drapiemy się po górach, przejeżdżamy brzegiem lasu dębowego i ukazuje się nam *Chocin* ze staremi na górze budowlami, które niebieski Horyń opływa, z białą Cerkiewką, opasany dalekiemi poleskiemi lasy, piękny, malowniczy, pełen nadziei. Ani zważamy, że deszczyk kropi za kołnierz i chmury gęste się zbierają.— Stajemy przed karczmą.— Święto właśnie, lud ją otacza. Pytamy o Pieczarę, Żyd nie rozumie, wołamy chłopaka — pojął nas!— Zaprowadź do niej?— Zaprowadzę!— Ruszamy szczęśliwie w drogę. Rozpytujemy przewodnika, ale z jego odpowiedzi okazuje się, że chociaż

zna pieczarę, w środku jéj nie był; powiada nam tylko, iż w niéj są napisy. Ciekawość rozpala się do najwyższego stopnia, mijamy dworek, zajeżdżamy przed cegielnię, stajem! Pieczara niedaleko — pójdziemy piechotą. O! jak serce bije! ile domysłów po głowach się kręci! Postrzegamy wały starego zamku, na które nas chłopak prowadzi. O, nie wiecie, to odwieczna sadyba, bo na bokach ogromnych wałów porosły stare drzewa, uplotły się nierozgarnione leszczyny, tarna, kaliny i głogi.—Jak się to uroczysko zowie — Horodyszcze— odpowiada przewodnik.

Z Horodyszcza wierzchołku zachwycający widok. — Horyń wstążką się wije po zielonéj dolinie, sinieją lasy w oddaleniu, jakiś folwark zza drzew na pagórku wygląda. A na miejscu starego zamczyska porosły chwasty i darnina pokryła gęsto ślady budowli, ślady dróg, wszystko! W kwadrat usypane wały dotykają prawie z jednéj strony i stromo spuszczają się w Horyń. Z téj strony obrosły drzewy i krzewami, z między których ledwie gdzieniegdzie miga rzeka u nóg płynąca. Na przodzie wysoki pagórek łączący się z horodyszczem; tam, mówią, stała Cerkiew! Może bożnica pogańska je-

szcze! Przebiegamy horodyszcze z zapałem, piękny widok nas rozpala, Kazimierz chwyta ołówek, zaostrza go w niedostatku noża zębami i rysuje.— Przewodnik wiedzie nas nad sam Horyń, i ścieszką wąziuchną przez wał w dół spadającą, zarosłą, sprowadza— w gęszczę.— Obracamy się, nad nami wysoki wał horodyszcza, o krok Horyń, przed nami urwana ściana gliny żółtej, okryta krzewy i trawami, u dołu w niej otwór pieczary, który na wodę prawie wychodzi.

Ha! więc nas nie oszukano!

— Chodził tu kto?— pytamy.

— O! chodzili, odpowiada chłopak, Panowie, Officery.

— I cóż mówili?

— Nie wiem, jam nie był.

— Nie byłeś w pieczarze? — Nigdy — A pójdziesz do niej z nami?— Czemu nie!— Gotujem się do wejścia, a raczej do wdrapania się w pieczarę, której otwór dość szeroki, ale tak nizki, że leżąc wchodzić potrzeba.

Rozwijamy papier, zaostrzamy ołówki, zapałamy świecę, przewodnik staje na przodzie, schyla się, wyłamuje kij na obronę przeciw borsukom i lisom, któremi nas straszy, zgina się we dwoje, przeżegnał i z u-

fnością w Bogu wpełznął głową w pieczarę — A za nim i my się drapiemy wewnątrz, nie bez jakiegoś uczucia, w którego składzie najmniej biegły chemik odkryłby trochę bojaźni. — Kilka kroków idziemy tak schyleni, ale coraz wyższe sklepienie pieczary, które jednak nigdzie nie przechodząc dwóch łokci, nie daje się podnieść i zupełnie wyprostować, co podróż naszą podziemną czyni nadzwyczaj przykrą. Oglądamy się — nic dokoła, wązki korytarz, który się obsypał w części, ściany gołe, gdzieniegdzie jamy lisie — powietrze duszące — przed nami jeszcze długa ciemna pieczara — pójdziemyż dalej??—

Walna rada, na której staje, abyśmy więcej ludzi zwołali, a osobliwie starali się takiego, coby już wprzódy był w pieczarze. Wysyłamy więc po ludzi, a sami zostajem paląc *paxitos*, wnioskując o przyszłych odkryciach naszych.

Ja przebiegam stare horodyszcze, z którego wzgórków widać Horyń i przepiękny krajobraz dokoła; staję pod staremi dęby i dumam chwilę o przeszłości, po której się tylko u nas zostały — mogiły, horodyszcza, kości i pieśni... Lecz dumanie przerywa niecierpliwa ciekawość, a obiecani ludzie nie nadchodzą, trzy razy zbiegam do Kazi-

mierza, trzy razy drapię się i wyglądam, azali nie idą ludzie.—Ale ich niema, a my czekamy, czekamy, aż niecierpliwość zmienia się w nieukontentowanie.—Nareszcie idą ludzie, a z niemi Ekonom miejscowy, *facies* illuminowana jak niebo, kiedy słońce zachodzi na wiater.

Stary jakiś człowiek na przodzie.

—Byleś w pieczarze? pytam go.— Nie, Dodrodzieju.— A Wacpan? zwracam się do Ekonoma.—Ani ja.—Za nami biegł chłopczyk lat kilkunastu.—A ty?—Byłem, odpowiada.— Dawno?— W przeszłą Wielkanoc, pozapalawszy świeczki łaziłem z drugim chłopcem.

—Cóżeś widział tam? spytałem.— Na końcu są obrazy na ścianie wyrobione.— Obrazy! zakrzyczałem.— I napisy! dodał stary człowiek, słyszałem od ludzi.— Na skrzydłach lecę i prowadzę ich do otworu. W chwili przygotowania ukończone, świece porozcinane, a stary już wlazł do pieczary, za nim drugi, za nim odważny Kazimierz, za nim Ekonom illuminowany, w końcu ja iść miałem, i z świecą zapaloną schylałem się do paszczy, gdy coś się tak żal świata białego zrobiło, tak smutno i ciężko leść w ten grób ciasny, że—że—krótko mówiąc

pozostałem, obiecując sobie pójść do końca pieczary, jeśli się w istocie w niej co ciekawego znajdzie.— Zostałem sam jeden u wejścia, słuchając odgłosu kroków idących w głąb podróżnych, a odgłos tém słabiał, słabiał powoli — i — ucichł. Jam oddychał całemi piersiami powietrzem wolném, bo mnie jeszcze dusiło wspomnienie pierwszej exkursji w głąb tej lisiej jamy. Oddychałem, ale marzyłem razem o osobliwościach mających się odkryć, dla których widzenia trzeba będzie puścić się w pieczarę i dozwolić dusić ciężkiemu podziemia powietrzu. Po krótkiej chwili głosy się znowu ozwały zdaleka, zbliżały, i wreszcie pokazała się głowa Kazimierza obwiniona chustką w otworze.

— Cóżeś widział?

— To samo co i ty!—Jak to?— Kilkadziesiąt łokci korytarza podziemnego.— A napisy — ? —

—O! bardzo ciekawe!— między innémi— Między innémi? podchwyciłem —

— Wielkiemi literami, w ozdobnej tarczy, wypisano —

— Wypisano — czekałem, jakimże charakterem?

— Czystą kursywą — *Domicella!*

— A ! Zamilkłem — A Kazimierz śmiał się serdecznie !

— W istocie napisy owe sławne, były to imiona ciekawych odwiedzających, którzy od lat stu ryli tam je dla wiekuistéj pamięci.

— A więcej nic? — Nic — odpowiedział smutno Kazimierz, jak ja zawiedziony. — Ciasne przejście, w którem się nigdzie wyprostować nie można, kończy się wreszcie ścianą prostą. U dołu jéj jest otwór, trochę za wielki dla lisa, trochę za mały dla człowieka. Może być, że tam druga jest pieczara.

— Któréj my, rzekłem, odkopywać nie będziemy. — Jedźmy! dość na tém. I weszliśmy znowu na horodyszcze, trochę się śmiejąc, trochę smutni. — Piękny widok wart był téj przejażdżki, rzekłem, pocieszając towarzysza, w istocie piękny widok!

— Piękny, gdyby go za mgłą i wieczorem widzieć można, odpowiedział. — Co na to powiesz, dodał, że mi zaręczono, iż oprócz napisów, jest starożytny ołtarz w pieczarze.

— Powiém, że nigdy ludziom wierzyć nie można, przynajmniéj w takich rzeczach,

ktoś się zwiódł jak my i szukał satysfakcji zwodząc drugich;—ja powiém, żeśmy znaleźli kości wielkoluda w łańcuchach, świątynię marmurową i rękopisma runiczne.— Żart na bok — spytajmy ludzi — co mówią i myślą o téj pieczarze, która przecie prostym lochem być nie mogła.—Sądzę, że to było podziemne wyjście z zamku na rzekę, na przypadek oblężenia, a może w oblężeniu uczynione, może też wkopywali się tędy nieprzyjaciele do grodu!—i odwróciłem się do ludzi.—Ludzie kiwali głowami uśmiechając się.—Stary zaczął:

—Powiadają, rzekł, że bardzo dawno, niegdyś—dziewczyna przypadkiem, chodząc za kwiatami na horodyszcze, zobaczyła jakichś ludzi kopiących tę pieczarę, którzy ziemię z niéj wyrzucali dla niepoznaki w Horyń — byli to święci czy aniołowie.— Oni jéj powiedzieli, aby nikomu o tém nie mówiła co widziała, bo umrze.—Dziewczyna jednak wytrzymać nie mogła i powiedziała ludziom—ludzie się zbiegli patrzéć na dziwo, ale nikogo nie było—święci porzucili robotę—a dziewczyna umarła.

—Otoż widzisz, rzekłem do Kazimierza, że nie napróżnośmy odbyli wędrówkę, wie-

ziem z sobą podanie, które może więcéj warte, niż napisy w pieczarze.

J. I. Kraszewski.

d. 12 Września 1841 r.
Gródek.

Dwa Rozdziały z Powieści:

Genealogja.

Dwa Rozdziały z Powieści:

Genealogja,

CZYLI

OSTATNIE CHWILE TOWARZYSZA OD LEKKIÉJ CHORĄGWI JERZEGO HERBU WĄŻ.

Zaręczyny.

Zadowoleni tém opowiadaniem staruszka, a więcéj to nad wiele jego pamięcią, i przytomnością umysłu, poczęli rozpamiętywać nad kończącym się wiekiem XVIII, ile on zrządził ważnych wypadków, jak się odmieniła cywilizacja, i to, co było niegdyś ukryte przed północą, dziś zbawienne światło,

zakupione długiem doświadczeniem, uprawione na niwach krwią zbroczonych, obiega jej ludy, i jaśniejsze promienie na nich rzuca. Któżby się spodziewał, że Jan III. przy tak świetnych laurach, bogactwie i naukach, schodząc do grobu, większą ciemnotę po sobie zostawi, jak Stanisław August, który w upadku swoim, blask daleki światła rozniecił, i nowém niejako życiem natchnął nieszczęśliwe swe ziomki. Dziwne są koleje zdarzeń ludzkich; a wiek jeden dla nich tém jest, czém w świecie fizycznym rok słoneczny. Wschodzi, kwitnie, owocuje, usycha świat roślinny, i znowu napowrót dźwiga się, by też same koleje przeszedł; tak i ludzkość, ma swoją porę, swoje koleje, ale tém świetniejsze od świata materjalnego, że zawsze postępuje naprzód, i im większe znachodzi zapory, tém po ich złamaniu silniej wznosi się, i na wyższym staje szczeblu: bo duch zawsze wyższy od materji, i tocząc z nią walkę, jak złe z dobrém, świetniejszém nakoniec okrywa się zwycięztwem. Tak myśleli bracia Pani Pawłowéj, już będący w szkołach Pijarskich, i w świecie wyższym wyćwiczeni; nareszcie po czułych uściskach z swą siostrą i szwagrem, ruszyli w podróż do swéj Ukrainy.

Po odjeździe, rzeczy szły zwyczajnym try-

bem: jedni byli zajęci gospodarką, drudzy rozmyślaniem i czytaniem Żywotów Świętych; a Reginka, jako panna na wydaniu, swoim stanem, lub wyręczaniem Stryjenki. Nie raz się jej zdarzyło, lecąc z krępą dziewką za warzywem do lochu, wśród lutego wiatru, lub śnieżnej zawiei, zgubić kluczyki, albo w spiżarni odemknąwszy szafarnią, zapomnieć jaką ma wydać mąkę. Często płoniła się za tę nieuwagę, a więcéj jeszcze, gdy drót w pończoszce nie wiedzieć dla czego wyleciał, lub nie dosłyszała, co rzekła Stryjenka. Wszakże trzeba wiedzieć, że ten kwiatostan dziewic i chłopców, cuda z niemi wyrabia: nieraz najweselsza wpada w jakieś zamyślenie i smutek, czegoś jej braknie, coś marzy, wzdycha lub płacze; nieraz cichy i flegmatyczny chłopiec, wpada w jakiś szał, już zwinnym i ochoczym staje się; i gdy dawniéj w gronie dziewic zaledwie wybąknął słówko, teraz radby z niemi dni i wieczory trawił. Reginka, świeża jak trześnia na dojrzeniu, błękitnemi swemi oczkami z pod ciemnych rzęsów rzucała blask uroczy, a pukle płowych włosów na białéj szyi dziwnie jéj odbijały, śród rumianych lic, i ust szkarłatnych. Smutek jéj, były to lekkie na wypogodzonym błękicie chmurki, które dla tego się zbiegną, aby blask słońca tém

żywiéj połyskał. Tu więc wspomnieć należy, że od Świąt Bożego Narodzenia niejaki Maciéj Łoziński wdowiec, dość jeszcze młody i przystojny, począł bywać u państwa Pawlowstwa; i choć sam P. Paweł wyjechał był na jakiś czas za interesami, on wszelako nie przestawał dla jego domu swojéj attencji. P. Towarzysz Jerzy mało go widywał, i dla tego Regince, którą bardzo lubił, nigdy o nim nic wspomniał. Wtém jedną razą przyszła ona do staruszka i rzekła:

— Może Dziaduniowi zapalić świécę, i co przeczytać z Żywotów Świętych?

— A dobrze moje dziécko! ty zawsze lepiéj czytasz od Józia: on nie raz bąka i przekręca, i często ja sam ślepić muszę. Dobrze! zapal świécę, i patrzaj gdzie założono.

Tu Reginka przyniosłszy świécę, zaczęła czytać kazanie skrócone S. Chryzostoma, o męczeństwie Juwentyna i Maxima. Rozczulał się staruszek, gdy ta pięknie i dobitnie, z uwagą i przestankami czytała, jak ci dwaj żołnierze w wojsku Chrystusowém, dla niego, i za jego wiarę walczyli, i chwalebną męczeńską śmiercią, nie tylko dali świadectwo prawdzie, ale, ani honorami, ani pieniędzmi, ani ofiarowaną wolnością, nie dali się odwieść od swéj wiary, i w wieku IV. poniósłszy o-

kropne męczarnie, żyją dotąd w ustach prawowiernych, i żyć będą do skończenia świata.

— Cieszę się mocno moja wnuko! że dobrze czytasz: bo znać, że i sama rozumiesz, i na chęci ci nie zbywa. O poczciwe dziécię! czytuj je często, i nigdy o nich nie zapominaj: bo to jest chléb żywota duchownego, to cię od złych myśli i złéj drogi odprowadzi; a im więcej będziesz miłowała nauki Jezusa Chrystusa, tém więcéj Bóg cię błogosławić będzie w twoich zamysłach.

— O, ja temu bardzo wierzę, Dziaduniu Dobrodzieju! i już mię On ustrzegł od jednego nieszczęścia.

— A cóż to takiego? — zawołał zdziwiony staruszek, — powiedz mi; bo ja sy tego nie przypominam.

— Czyż Dziadunio zapomniał, w roku przeszłym, o owym Filipowskim, co to mię namawiał ... tu zapłoniła się dziewica, i daléj nie mówiła.

— A, ten łotr! co to cię chciał wykraść; a prawda! dziękuj Bogu; wszak to pijaczyna, i powiadają, że go P. Kommisarz ze swéj kancellarji wypędził. O, strzeż się moje dziécko! tych poszeptów czartowskich, a zawsze idź za radą kochających cię starszych. Widzisz go, jaki hultaj! a to piękna pociecha byłaby

dla twoich Stryjowstwa, co cię wyhodowali i wypielęgnowali?

—Ach uchowaj mię Boże! od tej nawet myśli, abym co bez wiedzy starszych zrobiła.

—Dobrze mówisz moje dziecko! lecz powiedzże mi, czy nie dojeżdża do ciebie ów P. Łoziński? bo mi powiedział Józio, że i dziś po obiedzie był.

—Jeszcze Dziaduniu dobrze nie wiém; lecz zawsze się mię pyta, czy może on znowu przyjechać do nas.

—Cóż ty na to odpowiadasz?

—A cóż Dziaduniu!...ja mu mówię... (cała w płomieniach odpowiedziała Reginka)... ja mu mówię, że to nie mój dom, lecz stryjostwa.

—Zapewne! tak zawsze należy mówić, jak jest prawda, i zawsze z moderacją panieńską: bo to nie wiedzieć w jakiéj on myśli zapytuje; lecz słyszałem, że się prowadzi dobrze, i jest Ekonomem w Wołosowieckim folwarku.—

Już chciała odchodzić, gdy staruszek zatrzymując zapytał się, —możeszże jego kochać, i czy jest kawaler?

—Ach Dziaduniu! ja jeszcze tego sama

nie wiem; lecz to podobno najgorzéj, że wdowiec, i ma dwoje dziatek.

— Prawdę mówisz, moja Reginko, są to wielkie i ciężkie obowiązki macierzyńskie; ale skoro go kochać i słuchać będziesz, lżejszemi one dla ciebie się staną; owszem, dając dzieciom dobry przykład, musisz codzień pamiętać o tém; a tak wojując z sobą, wojować będziesz dla Chrystusa, i Jego świętéj Ewangelji. Dziécię moje! radź się w tém Boga, na tę intencją wyspowiadaj się, a on cię natchnie, jak masz sobie począć: bo my ludzie nigdy nie zgadniem dokładnie, co jest przed nami. —

Zaledwie upłynął tydzień, aż dwoje sanek porządnych stanęło przed domem PP. Pawłowstwa. Krzątała się P. Pawłowa z Reginką nad przyjęciem przybyłych gości: częstowano kawą i pięknemi podolskiemi jabłkami; lecz Reginka chcąc gości zadziwić, szepnęła odniechcenia stryjance, a gdy ta zezwoliła, przyniesiono na półmisku cynowym, zimowe gruszki, które zdawały się być tylko co zerwane z drzewa. Wszystkich zabłysły oczy z tak miłego przyjęcia, a P. Blumski, Rewizor generalny dóbr Księcia, poprawując swój pas Słucki, wziął za rękę P. Reginę, i zbliżywszy się do P. Pawłowéj, — Mo-

ścia Dobrodziko! rzekł, my tu nie po te piękne gruszki przyjechaliśmy, ale po samę ogrodniczkę Mościa Dobrodziko! co nam je przyniosła. Oto P. Łoziński człowiek zacny Mościa Dobrodziko, prosi o rękę P. Reginy, i swój afekt przez nas przesyła.—

Tu podniósł się Pan młody i kłaniać się począł pokornie; a P. Pawłowa zmięszawszy się trochę, po chwili odrzekła: —Reginka jest krewna mojego męża, i więcej od niego jako odemnie zależy;— ale panienka cała w płomieniach, wyrwała rękę, i jak kula znikła.

Obrócili się Panowie Dziewosłęby, (bo był i drugi Pisarz miasta JP. Marcinkiewicz) i powtórzyli łącznie życzenia przed Panem Pawłem.

Przezacni Panowie! ukłoniwszy się odrzekł P. Paweł, mąż i żona jestto jedno ciało wedle pisma świętego, i my zawsze zgadzamy się z sobą; więc od nas,— spojrzawszy na swą połowicę, Panowie Dobrodzieje! nie będziecie mieli przeszkody; ale cóż na to rzeknie owa, jak W. Rewizor nazywa, ogrodniczka?

Poszła za nią P. Pawłowa, a Łoziński rumiany brunet, podkręciwszy wąsa, z miną dość wesołą przemówił: —mnie się widzi, że

jak Państwo Dobrodziejstwo oboje są na mnie łaskawi i względni, tak P. Regina tyle jest dobra, iż ceniąc moje zasługi położone w jéj sercu, nie zechce je odrzucać, i dożywotnim nie pogardzi przyjacielem.

— Takjest! powtórzył P. Marcinkiewicz: panienka jak jagódka, nie powinnażby być słodką i dobrą? P. Łoziński, mój Mości Dobrodzieju! choć wdowiec, i ma dwoje dziatek, lecz jak to mówią, ma i na dzieci: jużto w Skarbie Księcia od lat 12 służąc ma piękną estymę, a co większa, człowiek statek i gospodarny; Bóg go więc obdarzył znacznym remanencikiem, i ma niezłe porządeczki, a i coś, niech to będzie *sub secreto*, jest i na żydkach Międzyboskich kilka tysiączków złotych, mnie to dobrze Panie Kumie wiadomo. Tu P. Pawła ścisnął za rękę, i stroniąc od P. Rewizora, chrząknął kilka razy, aby uniknąć pozoru.

Tymczasem nadeszła ze Stryjanką Reginka; ale oczy łzów pełne, czoło zachmurzone, i tylko rumieniec, nakształt chmur szkarłatnych zachodzącego słońca, oblał jéj miłe i szlachetne oblicze.

— Co też nam Asińcka Dobrodzika zwiastujesz? rzekł P. Rewizor. — Tu trzeba się cieszyć, że człek tak słuszny, jakim jest P.

Łoziński, składa w hołdzie swoją rękę, a P. Regina zapłakana, jakby nam żałowała tych pięknych gruszek, co piérwéj przyniosła.

— Mnie się zdaje, odrzekła dziewica, że to o ważniejszą rzecz idzie, jak o gruszki. W. Rewizor wié, że wychodząc za wdowca mającego dzieci, wielki na siebie bierze się obowiązek; to mię bardzo lęka, i bez rady moich Stryjowstwa i mego Dziadunia, nic nie mogę postanowić.

— A więc raczcie Waćpaństwo Dobrodziejstwo prosić W. Towarzysza, niech się ta rzecz rozstrzygnie formalnie, i niech to nie idzie na dalszą delatę; bo Panno Regino, już się kończą zapusty! —

Skłonił się uprzejmie P. Paweł, i poszedł za swym ojcem; tymczasem Pan młody ucałował rękę P. Pawłowéj i jéj synowicy, i cokolwiek zbladłszy, czekał jakby winowajca, z pokorą wyroku stanowczego.

Nadszedł nakoniec i ów staruszek, a gdy go powitali wszyscy, zapytał po co jest wezwany. Gdy mu to P. Rewizor oświadczył: pomyślawszy cokolwiek i pokiwawszy głową, rzekł nakoniec.

— Moje dziecię! słyszałem od niejednego, że brat nasz P. Łoziński jest człowiek słusz-

ny, i ma kawałek chleba, że nie stary i nie szpetny, sama widzisz, a czegoż więcej żądać? a że ma dziatki, to będziesz im dobrą macochą, i oni cię jako dobrą, choć nie kochać, to szanować muszą; przeto w Imię Boga Najwyższego, ja ci radzę, życzę, i błogosławię. —

Tu wszystkich oczy obróciły się na pomieszaną Reginkę; lecz ta padając do nóg swej stryjance, rzekła: — Tyś mi Matka i Dobrodzika moja! powiedz jak mam postąpić?

— Idź kochane dziecię! rzekła płacząca P. Pawłowa; a P. Paweł zbliżywszy się podniósł Reginkę, i całując w głowę, idź, powtórzył, z serca ci życzemy.

— Ha! zawołała rozczulona Reginka, kiedy tak starsi mówią i radzą, a serce niesprzeczne, więc pójdę za P. Łozińskiego, i kłaniając się P. Rewizorowi, oddała swój pierścionek.

Przyleciał na to hasło P. młody i oddawał swój także; gdy staruszek powstał ze stołka i zawołał: — Hola Państwo młodzi! nie tak się to dzieje; czyście już zapomnieli o Bogu, gdy wam pomyślna gwiazda zaświeciła? Nie tak moi Państwo! proszę przywieźć z miasta Księdza Proboszcza; on niech pobenedykuje obrączki, przeczyta modlitwę, i włoży je na

wasze palce: bo to wiedzcie, gdy od Boga się pocznie, on z wami będzie, i do końca szczęśliwie doprowadzi.

Pojechał P. Pisarz za proboszczem, a tymczasem umawiano się długo o czas ślubu. P. młody chciałby jak najrychlej; lecz P. Pawłowa jako przezorna gospodyni, przekonała go, że to być nie może prędzej, jak po Wielkanocy na przewodną niedzielę. Musiał się poddać temu prawu P. Łoziński, i za to serdeczny uścisk od swej narzeczonej otrzymał.

Wesele.

Chociaż kuligi ustawały, tak jeszcze znane za ostatniego panowania, przecież pamięć ich, jak cień odbitego obrazu, tkwiła jeszcze w myśli ziomków; i nieraz zdarzyło się, że liczne bandy zbierały się podczas zapust do jednego domu. Oficjaliści Księcia, w tak ogromnym majątku, i pod błogim rządem mieli byt dobry, i choć skromniej od posiadaczów ziemi, wszelako zabawiać się niekiedy lubili: bo to była taż sama starodawna szlachta, a tylko po ruinach wielolicznych kraju podupadłszy, musiała u magnatów wysługiwać kawałek chleba. Ztąd pograniczne Województwa, naj-

częściej były zarządzane przez służebną szlachtę, która z czasem za błyśnieniem pokoju, odkryciem portu i przez oszczędne życie, wybrnęła z służebnictwa, i wielu bardzo wstąpiło znowu w stan wyższy obywatelski; bo, jak mówią, fortuna kołem się toczy, a los zrządza cuda.

W podobnym więc domu dowiedziawszy się P. Łoziński, że PP. Pawłowstwo na zabawie będą, aby oswoić P. Reginę z swemi dziećmi, Magdusią i Dyziem, zabrał je z sobą, dla sprezentowania. Że to było liczne zebranie, i wieść na skrzydłach prawie rozleciała się o owych zaręczynach; wszystkich oczy, a szczególniej kobiet, na Reginę były zwrócone, która skromnie na dziatki spozierając, i słowa nie mogła wyrzec; lecz Pani Pawłowa głaszcząc je, winszowała P. Łozińskiemu, który blisko swej narzeczonej usiadłszy, kazał im ucałować ręce. Dyzio żywszy, chętnie to dopełnił; lecz Magdusia starsza i powolniejsza nie wiedząc od kogo zacząć, zwróciła się do P. Reginy.

— Trzeba było pierwej przywitać Panią Pawłowę Dobr., rzekł ojciec, i idź pocałuj; — gdy wtém Regina nabrawszy cokolwiek odwagi przemówiła: — Piękne dzieci, i rozumiém, że są dobre i posłuszne.

— Ach Panno Regino Dobr.! z duszy radbym tego; i sądzę, że gdy im dobra Matka przewodniczyć będzie, wyjdą z czasem na ludzi.

— O! gdyby to Matka!... nie kończąc odrzekła.

— Pani Dobrodziko! mam przykłady, że i macochy są jak rodzone matki; gdy te znowu zdarza się często, iż o swych obowiązkach zapominają, a dzieci rosną jakby w lesie.

— Magdusiu! czy pamiętasz swoją mamę? wyrzekła P. Regina.

— Pamiętam; a Dyzio to nie: bo on był u mamki, jak mama nasza umarła; rzekła pyzata Magdeczka, połyskując czarnemi ojcowskiemi oczętami.

— A żalże ci mamy?

— Żal! bardzo żal! bo mama jeździła ze mną i dawała rodzynków dużo, dużo!

— A teraz ty nie jeździsz?

— Nie! wznosząc ramionkami.

— A dzisiaj?

— E, dzisiaj! bo Tato mówił, że Panna Regina będzie. —

Uśmiechnęli się wszyscy przytomni, i Dyzio skacząc śmiał się, a P. Regina pochwyciwszy na ręce Magdeczkę, poleciała z nią zapłoniona do drugiego pokoju.

Odtąd począł z dziatkami swemi P. Łoziński do domu państwa Pawłowstwa uczęszczać, a nawet niekiedy je zostawiał, aby ten kłopot dla młodéj dziewicy nie tak się wielkim wydawał: i jako brzemię, które zwolna podnosimy, mniej nas ugniata; tak i zwolna do powinności coraz wyższych i ważniejszych przechodząc, nie czujemy prawie ich ciężaru.

Post wielki zawiesił wszystkie myśli światowe: nieraz Reginkę PP. Pawłowstwo lub dziadunio, zajmowali czytaniem passji, medytacji, lub żywotów świętych. P. Pawłowa zaledwie zgodziła się w niedzielę jadać z mięsem, a resztę z nabiałem lub całkiem z olejem; i nikt w tym domu na długość postu nie narzekał: bo wszyscy przejęli się duchem naśladowania Chrystusa, a żywy przykład mieli z Pana Towarzysza, który dni całe najczęściej na modlitwie i kawałku chleba przepędzał.

Tak zeszły owe dni smutku i męki Zbawiciela; lecz za to za zwiastowaniem Alleluja, wszystko podwójną okryło się radością; wystąpiły na stół potężne baby, w których P. Pawłowa była mistrzyni, długie lukrowane placki, świecące się serem obertuchy, i smakowite nad wszystko mazurki, pełne mi-

gdalów, rodzynek i massy cukrowéj. Tuż między niemi błyszczały różnym kolorem mięsiwa, a baranek z masła, jak śnieg biały, z powiewną chorągiewką, oznajmiał przychodniom, że powstał z martwych Chrystus, i świat nowy, nowe życie, nowe szczęście dla dusz wiernych przyniósł; zkąd mają się radować, i darów bożych używać.

Do tych miłych uniesień zawitała wiosna, zwiastunka wesela człowięka. Już bowiem *Międzyboż* ze swojemi okolicami malował się w przepysznym widoku: tam ze zbiegiem rzek spoważniał ów Boh kręty, bogaty w łąki i wysepki zielone: tam wieś *Srubków* na wzgórzu wznosząca się, od zakwitłych sadów całkiem bieliła się, i dąbrowne lasy *Wołosowice*, jakby na tle swojém ukazywała. Bliżej błyszczał staw wielki od drogi Mikołajewskiéj, tuż przy nim rozległe pola, okryły się rozmaitém bydłem, a najbliżéj od domu państwa Pawłowstwa miły był widok na tłum snującego się ludu w mieście, którego gwar często przez wodę na przysiołek Trybuchowiecki dolatywał, i któremu często lubili się mieszkańcy domu z pod roskosznéj lipy przypatrywać. W samym rynku porządniejsze kamieniczki, kościół starożytny, i od tego starożytniejszy zamek z basztami, krużgankami, strzelnica-

mi, i zębatemi w koło murami, których ściany pokryły się mchem i zczerwieniałością, kończyły ten krajobraz, i przy odżyłéj naturze malowały oczom kontrast, jak się zwykle przedstawia starość obok młodości; lecz w massie i perspektywie, była to harmonja i wspólne życie ogromnym związane łańcuchem: bo wszystko wyszło od jednéj ręki Przedwiecznego, nad czém tylko zdumiewa się człowiek.

W takiéj to porze pod wieczór, na dni kilka przed przewodną niedzielą, usiedli z swym ojcem państwo Pawłowstwo i długą naradę mieli, jakby ten akt weselny Reginki przyzwoicie odprawić. Wkrótce stanął przed niemi kucharz Franciszek Mazur, który był w usługach przeszłego Komissarza, a przy jego śmierci libertowany, siedział w dworku swoim, i niekiedy jeszcze dla starych panów, jak mówił, sute obiady robił: bo młodzi zepsuci na modzie fruncuzkiéj, omijali i znać go nie chcieli.

— No! mój poczciwy Franciszku, ileby to dań dać na ten obiad? przemówiła P. Pawłowa.

— A juzcić moja Pani droga, potseba moja Pani;— tu zamrużywszy oczy zaczął w myśli rachować — tzy dania, a na kazde po 10 półmisków: bo ja pamiętam, jak na wesele Pa-

na Łowcego Komissarza, jak to się drugi raz zenił, było po 12 półmisków, a do tego pastetnik i cukiernik mieli co robicz.

—To wiele! przerwał P. Paweł: — u nas nie tak to wiele osób będzie, i my nie tacy wielcy panowie, a jeszcze do tego wydajemy sierotę, nie córkę.

—Taz ja to dobze wiém: — no! to i cóz ze nie córkę? wsak ci to Synowica rodzona, to wasa z przeprosceniem krew tak bliska, a jaka ślicna, to jak złote jabłusko:— grzech ci to! grzech! załować dla niéj sutego obiadu.

—Ale mój dobry Franciszku! my nie żałujemy, znowu rzekła P. Pawłowa, tylko na co narabiać, gdy nad 20 osób nie będzie więcéj.

— I zapewne, przemówił P. Towarzysz, co tam te zbytki, gdy i wy moje dziatki chudo pachołcy; bo to żeby tak nie było, jak mówią: zrazu gody i gody, a potém głody.

—Dobrze mówi Jegomość Dobrodziéj, to mnie się zdaje 15 półmisków będzie dosyć.

— I zapewne moja Pani Synowo! czyż to każda osoba zje na siebie półmisek strawy: to trzeba brzucha owego jakiegoś Gamrata, co powiadają, że po kilkanaście funtów żarł mięsa.

To już tak mój Franciszku! zrobisz nam

3 dania, składające się z 15 półmisków: jedno będzie mięsne, drugie rybne, a trzecie z ciast; do tego dodamy jeszcze i frukta.

—A cóz! to juz niech i tak będzie; tylko prose Wielmoznych Państwa, ze na końcu ja dam swoję stukę kucharską: bo ja clek stary, niech psynajmniej Państwo starego Franciska będą mieli po cém pamiętać.—

Spójrzeli się na siebie wszyscy, a Pan Paweł ściskając go, rzekł: dobrze! dobrze! mój poczciwy Franciszku, i my wkrótce z tych okolic wyjedziem; to niech i o nas trochę pomówią, byleby tylko nie źle.

—Oj tak mój synu! niech poczciwi i dobrzy o nas mówią, a źli wkrótce przestaną: bo dobrzy upomną się; i stare przysłowie niesie:—obmowa nie zaszkodzi, kto jéj sobie nic swoi.—

Zabłysnął nareszcie i ów dzień weselny. Zajechał swoim skarbniczkiem P. Łoziński, w dom PP. Pawłowstwa ze swojemi dziewosłęby i przyjaciółmi; a P. Regina, przybrała sobie trzy panny drużki i pragnęła, by w obec wszystkich cała ta ceremonja odbywała się.— W pierwszej więc izbie, rozścielono pośrodku dywan, postawiono krzesło, przyniesiono wazon rozmarynu, do którego Pan Młody dodał wyzlacany łubek i 12 igliczek. Poczém

zebrali się wszyscy, i gdy dziadek z kropilniczki nabrał święconej wody dla poświęcenia rozmarynu, padła mu naprzód do nóg Panna Młoda prowadzona od drużek, a za nią Pan Młody z jednym drużbą, jako wdowiec, i prosili oboje o błogosławieństwo. Przeżegnał ich staruszek swoją patryarchalną ręką i przemówił: — Niech was Bóg tak błogosławi, jak ja was błogosławię w Imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, i niech wam daje wszystko dobre z nieba, ziemi, rosy i słońca. Żyjcie szczęśliwie i kochajcie się! — Potém postąpili do P. Pawła, dalej do Pani Pawłowej; poczém do swych dziewosłębów, i kilku poważnych kobiet, co się na ten akt zgromadziły. Tymczasem reszta dziewcząt łamały rozmaryn, wiły wieniec na łubku złocistym, lub go układały w mnogie wiązki; przepasując białemi wstążkami. Napełnił się niemi cały półmisek, i podano Pannie Młodéj pytając, kto będzie przypinał wianek. — Ach, moja najdroższa Matka! zawołała P. Regina, daj Boże bym tak była szczęśliwą, jak ona! — i niosąc półmisek, uklękła przed nią. — Wstań Regisiu! moje dziecię kochane! wstań! i usiądź na swojem krześle. — Szła szlochając dziewica, a P. Pawłowa znowu go pokropiwszy święconą wodą, przypięła na głowie, któ-

rej włosy w pukle zwinięte, ozdobnie na szyję spadały. Biała z linonu szczupła i krótka suknia, okolona u spodu białą z róż girlandą, a u pasa atlasową tegoż koloru wstęgą, z wijącemi się końcami, stroiła anielską Reginki postać: była bowiem wysmukła jak topolka, a rumieniec trwogą i pomięszaniem przygaszony, zaledwie dojrzeć się dawał. Skoro uderzono we dzwony, a wszyscy już mieli przypięte bukiety, cały orszak ruszył do kościoła. Pan Młody jeszcze rzeski, miał sobie przygotowanego wierzchowca, i assystował swej damie, która jego skarbniczek z drużkami zajęła; za nią ciągnęły drugie skarbniczki i bryki różnego rodzaju, a nakonice sam P. Towarzysz powoził się, na swym jednokonnym wózku. Podczas nabożeństwa P. Paweł niektórych do siebie na obiad zaprosił, a szczególniej P. Stolnika z żoną, jako komissarstwa, i pierwsze w tem mieście osoby.

Już PP. Młodzi wrócili byli z całą assystencją do domu, już i ksiądz proboszcz z wikarym zawitał, gdy jeszcze nie było PP. Stolnikostwa; tymczasem Pan Młody, chcąc rozerwać myśli swej oblubienicy, a zabawić gości, sprowadził poczwórną muzykę, i ta w sieniach przegrywała różne skoczne tany. Stół w pierwszej izbie stał długi, i cały był zasta-

wiony pierwszém daniem. Na początku było trochę farfur, jako wówczas rzecz dość rzadka, dalej świeciła się cyna, a poważne karłowate wazy, jakby z ukrytych kraterów wulkana, dymiły parą, która dolatując, smak niejednemu zaostrzała. Sześciu kozaków Granowskich w zielonych kontuszach, przysłanych od P. Komissarza stali po obu stronach stołu, a goście w dwóch drugich izbach i naprzeciwko bawili się. Wszyscy byli weseli i zajęci nowożeńcami; tylko głód i oczekiwanie, jak na przekorę, niecierpliwiły. Wtém nadleciał konny kozak, a za nim cug sześciokonny, ciągnący piękny Dangloski kocz zielony, z ponsowym spodem. Wprowadzeni zostali PP. Komissarstwo ze swoją familją; a po odbytej kolei kieliszka, podał rękę P. Stolnik Pannie Młodéj i zaprowadził do stołu; saméj zaś Stolnikowej assystował P. Młody. Chciano, by te dwie damy zajęły pierwsze miejsca, lecz P. Komissarz szanujący staropolskie zwyczaje, upraszał P. Młodego, aby usiadł obok swojéj oblubienicy, a dopiero przy nich po obu stronach usiędą. Spór był długi, i odwołano się do P. Towarzysza od lekkiej chorągwi, który cytując różne akta weselne, potwierdził zdanie Pana Stolnika. W pierwszém więc daniu odznaczały się sztufedy,

potrawy z pistaciami i figatelami, kapłony z kondymenty i zabielonym saporem. W drugiém szczupak długi leżał po węgiersku zgotowany, karp' z czarną juchą, karaś na biało z migdałami, i okunie z pieczarkami. Później gdy i to sprzątniono, a nowe ułożono prawdy, zajęły trzecie danie: bijanka, arkas, i nowo przez kucharza Franciszka poznane obwarzanki migdałowe; między któremi w piramidy ułożone gruszki i jabłka, na missach błyszczały i przytępiony apetyt gości, od godzinnego jadła, nanowo nęciły. Przyczém ochoczy gospodarz nalewał dość często kielichy winem na wyższém miejscu; a szary koniec uraczał miodkiem z własnéj pasieczki zrobionym. Na hasło zdrowia Państwa Młodych, zagrała muzyka, i już odtąd za każdym wiwatem, odpowiadała, i coraz większéj dodawała ochoty. Kiedy już miano wstawać od stołu, gospodarz pokłonił się gościom i rzekł: na konkluzją, moi wielce Miłościwi Panowie! jeszcze nasz kucharz ma dać potrawę, by i swój talent pokazał, i uczcił tak wielce szanowne zebranie; upraszam przeto o zatrzymanie się. Wkrótce w szlafmycy białéj, i w granatowéj kapocie, wystąpił zgarbaciały Franciszek, a za nim na półmisku niesiono półgarncową flaszę, w któréj ka-

plón caly się mieścił; i by nie wyleciał, przytknięto szyjkę korkiem. Postawiono flaszę na środku stołu, a stary Franciszek zdjąwszy szlafmycę, klaniając się, rzekl: — Oto, Wielmozni Panowie! ta stuka na pamiątkę Państwa Młodych, którym zycę: aby oni póty zyli i zyli, az póki kaplón z téj flasy nie wyleczi. — Brawo! wrzasnęli wszyscy, a P. Komissarz prosząc o wino, jeszcze wniósł wiwat Państwa Młodych! poczém zawoławszy starego kucharza, włożył mu w rękę kilka elisawetnych rubli. Dlugo na tę sztukę spozierano i dziwiono się; a któréj pamięć przechowała nam dotąd książka sławnéj prassy Berdyczowskiej, pod tytułem: *Kucharka miejska i wiejska.*

Że gospodarstwo byli bogobojni i skromni, nie było więc żadnéj zbytniéj pijatyki, krzyków, lub gorszących żartów. Po stole bawiono się tańcem, a poważniejsi rozmową ze staruszkiem, lub marjaszem w pulę; wszelako ta gra byla umiarkowaną, i szulerstwo, dziś jak choroba zaraźliwa rozlane, nie było wówczas tak széroko wladnące, ani sprawialo tyle uciechy. Mlodsi tańczyli ankatr-mazurka, krakowiaka, lub walca; a gospodarz chcąc wszystkich do ruchu i wesołości pobudzić, często stawał piérwszy

do poloncza, i tym sposobem bez kielicha, ożywiał całą kompanją.

Tak zeszło całe poobiedzie, wieczor i noc niemal cała, pokąd cukrowa kolacja nie rozproszyła nareszcie wszystkich gości; gdzie spokój, po gwarze i hucznej muzyce, jako do serc niewinnych i poczciwych, znowu powrócił.

Sylwester Wężyk Groza.

Dwa pisma H. z G. J.

Dwa Pisma H. z G. J.

Pismo piérwsze. (*)

Po rozstaniu się z wami i ja na drugi dzień zrana o godzinie 11tej, opuściłam naszych kochanych S.... Podróż moja smutna odpowiadała uczuciom duszy, bo po odjeździe wa-

(*) Te dwa pisma wcale nie były przeznaczone do druku, lecz gdy w sobie tyle pięknych myśli zawierają, zdaje się nam, że wydając je (chociaż w znacznem skróceniu) prawdziwą przyjemność naszym Czytelnikom zrobimy.

Wydawca A. G.

szym serce ściśnione żalem, trwogą i niepewnością, rachowało długą przyszłość, w której może kiedyś znowu, Niebo dozwoli nam rozpierzchnionym po przestrzeni świata, połączyć się w słodkie i harmonijne grono rodziny.

Myśl posępna, smutna, zapuszczała się w przeszłość, to znowu w przyszłość. Tamtéj wspomnienia stawiały pamięci drogich rodziców, drogie chwile szczęścia, którego się doznawało na ich łonie, pod ich czułém i troskliwém okiem; błogi byt z całą swobodą życia szczęśliwego, i z tym czarującym uśmiechem w duszy, który jest młodości udziałem. O! jakże wówczas byliśmy szczęśliwemi; i jakże to dzisiaj staje się drogiém, co już jest straconém na zawsze.

O gdyby młode umysły, młode serca, umiały ocenić, jak to wielkie szczęście mieć rodziców, dom rodzicielski byłby zapewne dla nich przybytkiem tego szczęścia, jakie napróżno znaleźć spodziewamy się w latach pełnéj woli naszéj, kiedy sami od siebie zależéć będziemy. Ale czyż myśl młoda z żywą swoją wyobraźnią, z tym umysłem nieusposobionym do wznioślejszych uczuć, jest zdolną wynieść się wyżéj nad to, co czuje, widzi, i prawie zmysłowie tylko pojmuje? Różowe sny jéj

wieku młodzieńczego w idealnym świecie, roją sobie życie nowe; a błogie uczucia serca oczarowują duszę, i każą wierzyć, iż są jeszcze inne, czulsze obrazy szczęścia na ziemi, jak te, których im udziela rodzicielska miłość tylko. O! biédne istoty, jakże bolesném jest przebudzenie się wasze z tego snu zachwycającego! Lecz któż z nas w młodości swojéj nie usypiał, z słodką nadzieją w sercu, a z pewnością w duszy, iż jeszcze może być lepiéj na świecie.

Kilkanaście lat pięknego życia, w progach rodzinnego domu, spłynęły jedną chwilą, a dni następnéj przyszłości odpłacić trzeba było czarą gorzkich cierpień; z wyjściem na świat ginie cały urok swobody i szczęścia, a nowe obowiązki już nie po różannych prowadzą nas ścieżkach. I dobrze, bo wszystko dobrze co Opatrzność urządziła, ciągła pomyślność i tak słodkie życie nie ozdobiłyby naszéj duszy, piękniejszém światłem, które wyżéj należy oceniać, jak przemijającego szczęścia chwile....

Tak sobie rozmyślałam w niemiłéj podróży, a tymczasem wiatr ze śniegiem przejmował nieznośném zimnem, i zamiatał ślady dróg nanosząc wały ogromne, które co chwila potrzeba było przebywać. Otuliłam mocno futro,

zapuściłam firanki od sani, woal od kapelusza, i niecierpliwie oczekiwałam końca podróży; sanie jednak posuwały się zwolna, bo zasypana droga utrudniała pośpiech; ale nie zważałam na nic, bo mię serce ciągnęło do biednego Stasia, którego chorym odjechałam.

Jakże miło po kilkonasto-dniowej niebytności, wrócić do swego domu! Nie napróżno powiedziano: «wszędzie dobrze, a w domu najlepiej»; wielka prawda, bo nic milszego, jak własny dom, z tą całą swoją swobodą życia, nie zawisłą od humoru lub przywidzeń drugich. Ale gdzież to szczęście jest prawdziwe lub trwałe na tym padole płaczu? Zaledwo wypiłam herbatę i wytchnęłam cokolwiek, a już czekały mię wielkie i ciężkie zmartwienia. — W pierwszej chwili radości z widzenia męża i dzieci, nie zwróciłam szczególnej uwagi na biednego Stasia; wprawdzie wyszedł i spotkał mię z czułością, co było powodem, iż wzięłam to za dobry stan jego zdrowia, ale wkrótce postrzegłam mocne bicie pulsów, głowę nadzwyczaj gorącą i wielkie wyniszczenie sił. Łatwo sobie wystawicie mój smutek i boleść moją....

Jedynem mojem wsparciem była nadzieja położona w nieograniczoném miłosierdziu Boga; a padając na kolana wznosiłam duszę i

serce z ufnością religijną, iż Najwyższa dobroć Jego raczy wysłuchać modłów zatrwożonéj matki. Jakoż na drugi dzień zapisana przez lekarza mikstura, tak była stosowna do jego choroby, iż po zażyciu kilku łyżeczek miał się nierównie lepiéj, i zaczął powoli powracać do zdrowia. Troskliwość i starania zacnego P. L. K. przy łasce Boga, wydarły to biédne dziécię z rąk śmierci, a mnie zachowały jeszcze kilka lat życia. Tak to na tym świecie, ta nieustanna mięszanina złego z dobrém, smutku z radością, niępewności z nadzieją, nieprzypominająż nam co chwila, iż nic trwałego niéma na nim; a my ludzie, słabe istoty, częstokroć w nieudolności naszéj, przywiązujemy ślepo uczucia i myśl naszą do powabów zwodniczych, i kiedy się mile uśmiéchnie promyk jakiś nadziei, lub zabłyśnie światełkiem pewniejszém, bierzemy to za trwałe szczęście, i zapominamy, iż jutro może nad tém łzy smutku wylewać będziemy. Lecz któż nie zna tych prawd, i któż nie jest niemi przejęty po smutnych doświadczeniach w życiu. Ale moi drodzy, tak długo już piszę do was, i tak przeciągnęłam to pisanie, że nie wiém nawet czém je nazwać. Na list za nadto długie, na Dziennik za mało ma obrazów szczegółowych; czém-

kolwiek ono zostanie, zawsze w niém znajdziecie szczére wylanie się duszy, z tą rzewnością czucia rodzinnego, z tém sercem szczérze was kochającém, które z prawdziwą roskoszą ocenia chwile rozmowy z wami, choć oddalonymi więcéj stu mil od nas.

Otoż teraz coś i ze szczegółów powiém. Byłam już po raz drugi u S.... Zaprosili mię na d. 12 Stycznia. Jak zawsze, i tą razą chętnie jechałam, chętnie, bo u nich tak milo, swobodnie, co nie zawsze mieć można u nas w tak ludném miasteczku jak Winnica.

S.... zajęty wyborem do Kijowa, i różnemi komissami, których nie szczędzili grzeczni sąsiedzi, o trzeciéj po obiedzie, po czułych pożegnaniach ruszył w swą drogę, a my zostałyśmy same. Ja przyrzekłam bawić dni kilka u W...., aby jéj osłodzić tęsknotę po odjeździe męża, a dla skrócenia chwil mniéj ożywionych, udałam się do najlepszego na to lekarstwa—do książki. Właśnie pod ręką znalazłam powieść P. Skarbka, którą w młodości mojéj czytając tak upodobałam; powitałam więc czule *PanaStarostę*, jakby dawnego przyjaciela serca. Prawie nie pamiętałam osnowy téj powieści, czytałam więc z ciekawością; szlachetna dusza zacnego Autora odbija się pięknie w tych czułych obrazach; ale my dzi-

siaj tak jesteśmy zepsuci, czyli wybredni, że oddając hołd cnotóm P. Starosty, chcielibyśmy świeższego stylu, piękniejszych i wznioślejszych myśli; zawsze jednak P. Skarbek będzie miłym nam autorem. Wzięłam potém *Amerykankę*, którą także czytałam zaraz po jéj wyjściu na świat, ale prędko przebiegałam, bo mi na krótko pożyczoną była. Jakże wielka różnica! jakże wielki postęp dzisiejszych naszych pisarzy, od piszących przed laty kilkunastą, i trocha więcéj. Z roskoszą przekonałam się o téj prawdzie, iż dzisiaj nierównie na wyższém są stanowisku, nasi prozaicy, poeci, i ja ze słabém mojém pojęciem, słabszą jeszcze wiadomością rzeczy, a jednak czuję mocno tę prawdę.

Jakże są piękne listy Krysty, o religji, o języku naszym, o stanie oświaty i tylu uczonych mężach, z wieku XVI, którzy głęboką swoją nauką, i rzadkiémi przymiotami umysłu, zapewnili sobie i narodowi sławę Europejską.

W tych listach mówię, tyle filozofji, tyle myśli wzniosłych, gruntownych, które tak przemawiają do duszy, tak zachwycają swojémi prawdami; nawet listy tego dziwacznego P. Zbigniewa, co to nie wiedział sam czego chce od swéj biednéj kochanki, i w jego li-

stach są myśli niepospolite i piękne; *np.* w liście do Walerego, z jakim wdziękiem, trafnością opisał nasze tańce, każdemu nadając charakterystyczną barwę narodową, tę wesołość czarującą, która panuje w kole zebranego mazura, lub wdzięcznego krakowiaka; a w innych listach tyle myśli poważnych, pełnych mocy i gruntownej rozwagi; dalej tak piękne rozumowania, a co ja lubię i tak chętnie czytam. Uwielbiam Autora, który pracą i talentem swoim przynosi chwałę literaturze naszej, a korzyść tak wielką rodakom i rodaczkom, bo zapewne nie jedna z płci mojej czytając, nauczy się języka, pozna jego obfitość słów, odmian, stopniowań, zakończeń; może już nie usłyszę więcej tych ciosów śmiertelnych dla mojego ucha i serca, że w naszym języku nic niema dobrego, i mieć nie można, bo nie harmonijny, nie delikatny, i nie stworzony do oddania myśli czułych i pięknych.

O! gdyby tylko moje zacne rodaczki chciały czytać, pracować we własnym języku; gdyby go ukochały z taką mocą duszy, z jaką oddane są francuzczyznie; gdyby swoje zbiory Balzakowskie, i innych romansów francuzkich, zamieniły na użyteczne dzieła tylu naszych światłych i uczonych rodaków! O!

ileżby to korzysci, ileby światła prawdy spłynęło do ich duszy, i ileby się pokazały wyższémi nad przesąd, który tak skrzywił prawdziwy sposób widzenia rzeczy, i tak nas poniżył nie tylko w oczach każdego światłego rodaka, ale i w obliczu obcych ludów.

Ja jednak mam nadzieję, że nasi dzisiejsi uczeni ziomkowie, tak pracujący nad dobrem ogółu całego, nie zostaną głosem wołającego na puszczy, zwrócą na drogę prawdy, i obłąkani poznają jéj światło.

Wszakże to zbyteczne zamiłowanie cudzoziemczyzny, zarówno wywarło wpływ swój szkodliwy i na płeć męzką; wszędzie ona daje się postrzegać, i zaledwo nie można powiedzieć, iż rzadko który z piszących jéj nie ulega; nawet w ciągu dzieła, które czytałam, znalazłam kilka miejsc ciemnych, nie dobrze wyrażonych, kiedy mowa nasza, tak jasna, pozwalająca tak zrozumiale i dokładnie wyrażać myśl każdą; zapewne naczytanie się niemczyzny psuje niektórym piszącym pióro, i ich pisma mniéj miłémi czyni.

Niéma téj wady nieoceniony nasz filozof Bochwic. Wykładając prawdy wielkie, Boskie i głębokie, jest jasnym, zrozumiałym i łatwym do pojęcia każdemu. Cześć i wdzięczność ziomkowie składać mu powinni, bo on piérwszy

przemówił do nas w duchu prawdziwej filozofji. Jakże to musi być zacny człowiek, który tak czuje, i tak tłumaczy naukę, wyższego i lepszego świata; myśl wielka i wzniosła przekonywa, o życiu drugiém, o nagrodach za cnoty, o szczęściu tam tylko trwałém prawdziwie, a nie na tém siedlisku cierpień i boleści.

Opiszcie nam szczegółowie, zabraną znajomość z tak czcigodnym mężem (*), chcemy go poznać jeszcze z fizycznej jego charakterystyki, bo moralnie znać go już będzie i pozna potomność.

Rzecz piękna i godna uwagi, że to, co wynika z prawd boskich, coraz u nas wchodzi w ogół czucia, i jak rzucone ziarno Ewangeliczne, padając na dobrą ziemię, wydaje obfite moralne plony, tak po zjawieniu się *Obrazu myśli*, ukaże się nam wkrótce w Athenaeum, traktat o potrzebie filozofji, wypracowany przez P. Tytusa Szczeniowskiego. A z Tygodnika dowiadujemy się, iż wyszła już część piérwsza Frederyka Szległa, *Filozofji życia*, wytłumaczona przez X. Dębińskiego. Dzięki

(*) Wydawca miał zaszczyt poznać Autora *Obrazu myśli mojéj*, w Wilnie w 1840, w miesiącu Grudniu.

szlachetnym ziomkóm, że choć później od innych, i nasza literatura w każdej gałęzi, wydaje piękne owoce.

Ale moi drodzy! powinnam już skończyć, wszak to kilka kartek, a jeszcze tyle chęci do rozmawiania z wami; i tyle przedmiotów znalazłoby się jeszcze dla pióra, które tak chętnie wszystko wam skreśla, że gdyby nie obawa znudzenia was długą moją gawędą, pisałabym jeszcze, z tém przekonaniem, że te moje błahe wyrazy, pozostaną w waszém sercu, waszém tylko ręku.

1841 r.
w Styczniu.

szlachetnym zwolenom, że choć późniéj od innych, i nasza literatura w każdéj gałęzi, wydaje piękne owoce.

Ale moi drodzy! pora mi już skończyć, wszak to kilka ścieżek, a jeszcze tyle chęci do rozmawiania z wami, i tyle przedmiotów znalazłoby się jeszcze dla pióra, które tak chętnie wszystko wam kreśli, że gdyby nie obawa znudzenia was długą moją gawędą, pisałabym jeszcze, z tem przekonaniem, że te moje słabe wyrazy, pozostaną w waszém sercu, waszém tylko echo.

1841 r.
w Styczniu.

Pismo drugie.

Od czasu przesłania wam piérwszego pisemka mojego, nie otrzymałam dotąd waszéj odpowiedzi.—Wiém, iż oddalonym więcéj stu-milową przestrzenią, nie tak łatwe i prędkie są stosunki, za pośrednictwem poczty nawet; cóżkolwiek bądź, ja zaczynam znowu pisać do was, bo w życiu ludzkiém zdarza się tak konieczna potrzeba rozmowy, że z upragnieniem szukamy pory, w któréj moglibyśmy powierzyć wszystko tym, którzy

czują naszém czuciem, naszém sercem, sądzą tymże samym sposobem widzenia rzeczy.

Żyjemy w wieku, w którym ogólne jest dążenie do wyższych postępów moralnych, do kształcenia się duszą i umysłem, a tém samém do coraz głębszego poznawania prawd Boskich i ludzkich. I powinniśmy dążyć do tego wszystkiemi siłami, całą mocą zdolności usposobień, ażebyśmy z bytu naszego przynieśli korzyść prawdziwą współczesnym i przyszłym pokoleniom. Nie mogę więc obojętnie patrzeć i nie cierpieć nad tém, kiedy widzę ziomków moich, mogących się stać prawdziwie użytecznymi, a którzy zamiast książki gruntownie napisanéj, czytają tylko błahe powiastki francuzkie i romanse potwarzające płeć moją;—a kiedy zdarzyło mi się ich zapytać o tylu naszych światłych rodakach, znanych już z prac swoich, o pismach naszych perjodycznych, nie umiejących mi nic odpowiedzieć, bo to było zupełną dla nich nowością, jakby przybyłym z innego kraju, z innego świata.

O mój Boże! pomyślałam sobie, wszak to moi rodacy, żyjemy pod jedném niebem, na tejże saméj ziemi, oddychamy témże samém powietrzem, ale jakże są różne nasze

uczucia, myśli, sądy i sposób pojmowania całego ogółu rzeczy.

Słowem, co było pracą naszych najświatlejszych ziomków, to wszystko nie przypadało do smaku; co mogło wznieść duszę, było im zimne, obce, i nie odpowiadało czuciom zepsutego gustu; a jednak słyszę mówiących w salonie, iż to są ślicznie wychowani ludzie.

O jakże mało potrzeba do pozyskania pochwał salonowych...!!

Ze smutkiem wyznać mi tu przychodzi, iż płeć moja w znacznej części przyczynia się do upoważnienia i zamiłowania rzeczy szkodliwych całemu ogółowi, przynoszących wielką skazę moralności, a nadewszystko poniżających nas samych w obliczu prawdziwego światła, prawdziwéj cnoty i czystych moralnych pojęć. Tak, mówię, przykro mi bardzo rozbierać te przyczyny, i źródło złego w niemałej dozie znajdować w płci mojéj; a jednak to jest prawdą niezaprzeczoną, iż częstokroć sądem swoim skwapliwym, pochwałami niewczesnemi, pobłażaniem lekkiém i płochém, psujemy młodych ludzi i utwierdzamy ich w fałszywych wyobrażeniach.

. . . .

Czemuż zacna płeć moja nie przyjmuje głosów, wołających na nią: — *iż zła jest edukacja* i pierwiastkowe wychowanie, które zaraz od kolébki uczy dzieci obcéj mowy, a tém samém obcych uczuć i obcych myśli.— Dla czegoż trwa upornie w przesądach swoich, sprowadzając zawsze do kształcenia młodzieży ludzi z innego kraju, bez żadnych gruntownych dowodów o ich moralności, szlachetności duszy i prawych obyczajach.— Jakże nam obce indiwidua mogą zaszczepiać w serca młode smak do rzeczy własnych, stworzonych dla nas samych tylko, i miłych sercom naszym dla tego, że to jest naszym zwyczajem, tamto naszém uczuciem, a to ogólną potrzebą wszystkich razem.

Słyszę wielu mówiących o tych prawdach, potwierdzających z zapałem całą moc jéj dowodów, ale poprawa i skutki z niéj dobroczynne, z boleścią mojego serca wyznać muszę, iż są jeszcze dalekiemi od nas.

Zawsze jesteśmy w połowie zfrancuziali, zawsze tenże sam makaronizm razi nasze ucho, zawsze taż sama śmieszność, iż lepiéj i łatwiéj napisać list po francuzku, niż własną mową; bo się jéj niezna — nieumié, bo się jéj nie nabyło z zamiłowaniem od dzieciństwa, od piérwiastkowych pojęć. Ztąd

też wszystkie pomyłki i w dalszém życiu; stracony gust do rzeczy własnych, upodobanie samych tylko lekkości, co tak rymują mowie francuzkiej; ztąd i te na pozór wady tak drobne i małoznaczące, a które psują charakter, obyczaje. Nie jestem wcale fanatyczką, abym niweczyła chęci do poznawania obcych języków; owszem, w całéj mocy znam ich wartość, ich korzyści, ale gdybyż prawdziwych korzyści szukano, byłoby to lżéj sercu; lecz kiedy całym z nich użytkiem, jest tylko popisywanie się w towarzystwie lub czytanie romansów, i to jeszcze gorszących, jakże marnie czas stracony, jak biédne zyski z ukochanéj od kolébki mowy.

Czemuż nie bierzemy przykładów od innych narodów, które ucząc się języków obcych, uważają je tylko jako pomoce do nabywania dalszych wiadomości, lecz bynajmniéj ich to nie upoważnia do pogardzania rodzinną mową; to też o wiele są wyższymi od nas.

Z dumą miłości własnéj powiedzieć mogę, że i nam dobroczynna natura nie odmówiła obfitych darów swoich, i między moimi rodakami są geniusze w każdym prawie wieku, w rozlicznych piszący przedmio-

tach; i wielu z nich wyliczyćbym mogła.— I teraz są zacni i światli mężowie, pracujący ze sławą literatury i pożytkiem ogólnym;— i młodzież, szlachetną zajęta pracą; i przybywałaby jej liczba, gdyby tylko zamienić chciała płoche rozrywki swoje na użyteczne zatrudnienia. Na wieluż to nam rzeczach zbywa, i jak powiedziałam, w wieluż to względach ubodzy jeszcze jesteśmy.

Chociaż nie mam zazdrości w duszy mojej, jednakże obudza się ta na widok tylu dzieł wyszłych w języku niemieckim, a których nam ze szkodą naszą największą nie dostaje.

Wielu znam moich ziomków, umiejących dobrze obce języki, a między nimi jeden tylko, który szlachetném poświęceniem się zasłużył na prawdziwą wdzięczność, zasilając ubogi oddział historyczny literatury naszej tłómaczeniem na język własny *Herena*, *Ryssa*, i daléj postępując w tym przedmiocie. Dla czegożby nie mogli nasi zacni ziomkowie podzielić pomiędzy siebie te szlachetne przedsięwzięcia, i wspólnemi siłami pokonywać trudności, częstokroć im towarzyszące; a literatura nasza wzbogaciłaby się dziełami: *Bekiera*, *Dresza*, *Roteka* i innych. Zwolennicy literatury francuzkiéj, gdyby

chcieli wybierać w niej użyteczne płody, i tam znaleźliby bogactwa godne naszego przyswojenia. Wyszły teraz *Kurs Całéj Edukacji*, przez towarzystwo uczonych ułożony, a wydany przez Pana *Thery*, jest dziełem nieoszacowaném. Wszystko, zacząwszy od piérwszéj nauki aż do zupełnego jéj ukończenia, jest tam zawarte, złatwione, objaśnione, a uczącego jakby za rękę prowadzi.— I bez pomocy obcéj sama matka lub światła mistrzyni jest w stanie z największym pożytkiem uczyć swoje dzieci lub uczennice; bo co tylko umiéć należy, jest tam dokładnie skréślone przez światłych pedagogów francuzkich.

. . . .

O gdyby to nasi uczeni ziomkowie chcieli zwrócić uwagę na wychowanie i edukację płci mojéj, gdyby chcieli światłem prawdy i głęboką swoją rozwagą wniknąć w jéj ducha, poznać jéj niedokładności, jéj uchybienia, i niemal ogólnie skrzywiony sposób widzenia rzeczy; jakżeby wielką uczynili przysługę całemu związkowi towarzyskiemu, skierowaniem jéj na drogę prawdziwą, zastosowaną do naszego powołania, do świętych obowiązków, do zaszczepiania w dusze szlachetnych uczuć, opartych na naszéj pię-

knej religji; która w czystém swojém świetle jest zbiorem wysokiej mądrości, prawdy i filozofji, tak koniecznej i potrzebnej w smutnych wypadkach i odmianach losu, lub w rozlicznych cierpieniach, spotykanych na drodze życia naszego.

Gdyby, mówię, zastanawiając się, chcieli pomyśleć nad tém nasi uczeni ziomkowie, i rozbierając skutki weszli w ich przyczyny; o bez wątpienia uznaliby potrzebę nieodbitą napisania dzieła o edukacji, któreby z całą dokładnością obejmując prawidla religji i moralności, kształcilo serce i umysł, a pokazując matkóm drogę prawą i niemylną, wybawiłoby je tém samém od zboczeń, wykrzywiających tę piękną i ważną pracę powierzchownemi formami, tak blahemi, a częstokroć szkodliwemi, bo zaszczepiającemi zarody złego, psującemi serce i charakter dzieci.

Kiedy Niemcy są zarzuceni dziełami o edukacji, kiedy i Francuzi, choć lekkomyślni z charakteru swego, uznali potrzebę ułożyć osobne dzieło dla płci żeńskiej, i starannie je wypracowali; dla czegoż my tylko miałybyśmy zostać mniej ważnym przedmiotem dla naszych światłych rodaków, czemużby oni nie mieli sprostować pomyłek

w prowadzącej nas drodze do życia moralnego, aby ta niewątpliwie zapewniła nam, i wieczne szczęście i prawdziwą chwałę z krótkiego pobytu ziemskiego.

Wiadomo z historji, iż zepsucie obyczajów gubiło narody i podawało je wiecznemu zatraceniu; a przeciwnie cnoty, moralność, szlachetne i wielkie poświęcenia się, prawość w pełnieniu obowiązków swoich, były dowodem i wyższej cywilizacji, i ogólnie wyższego czucia narodowego.

Zastanawiałam się nad tém i zauważałam, iż zawsze przyczyna złego odbijała się od piérwszego wychowania, albo od złych domowych przykładów. Ale chcę mówić tylko o tém, w czém u nas jest wykrzywiona edukacja i piérwsze jéj zasady.

Matki tak zwykle dzieci prowadzą i wychowują, jak same były kształcone, lub nabyły téj ważnéj wiadomości z dziel obcych, napisanych nawet z ważnemi pomyłkami.— Nie każdą Niebo udarowało taką przezornością, aby je postrzedz mogła; często więc wszystko biorą co do słowa; jak to wiém o jednéj matce, która za to oddaliła guwernera, iż dzieciòm kazał pacierz mówić; i ci synaczkowie mieli być wychowani podług

Rusa, który tak wychował swego mniemanego Emila.

Naczytawszy się więc systematów rozmaitych o wychowaniu dzieci, każda sobie tworzy drogę osobną, a może dziwaczną, i tą prowadzi biédne istoty.

Inna znowu matka, mocno zgromiła i oddaliła bonę za to, iż pięcio-letniemu jéj synowi, na zapytanie jego, tłómaczyła czém jest Zbawiciel świata, i dla czego umarł na krzyżu?

W takiém to często wychowaniu urastają bydlątka, chociaż z duszą ludzką, do lat 18tu, bez zasad religijnych w sercu, bez zamiłowania uczuć ludzkości i moralności w duszy, ale tylko z francuzczyzną w ustach, i z całym zapasem salonowych czyli światowych wiadomości, bo na to zwracają największą baczność, jakby na rzeczy zbawienne.

Nic więc dziwnego, kiedy bez religijnych i moralnych prawideł wychodząc na świat młodzieniec, z wygładzoną powierzchownością tylko, z błahemi wiadomostkami umysłu, za piérwszą zdarzoną sposobnością oddaje się ponętóm zdrożności.

Więcej jeszcze to złe odbija się w płci mojéj, która i ostrzejszym prawóm i sądóm

podlega; co się łatwo przebacza i zapomina dojrzałemu mężowi, kobiecie przeciwnie, popełnione w młodości błędy, ciężą zawsze jakby grzech pierworodny, i spadają na potomstwo, szczególnie na córki.

Któż nie będzie patrzał z uwielbieniem na kobietę zacną, obdarzoną szlachetną duszą, wykształconym umysłem i umiejącą pod każdym względem szanować godność osobistą, która i postawą i powagą swoją wraża poszanowanie dla siebie, chociażby w najzepsutszém sercu człowieka.

. . . .

Te piękne cnoty z całą swoją chwałą otoczą niewątpliwie każdą, w któréj sercu od dzieciństwa zaszczepi matka, miłość Boga i święte poszanowanie Jego Boskich ustaw.

1841 r. w Marcu.

podległa; co się łatwo przebacza i zapomina: dojrzałemu mężczyźnie, kobiecie przeciwnie, popełnione w młodości błędy, ciężą zawsze jakby grzech pierworodny, i spadają na potomstwo, niezmazalnie na córki.

Któż nie będzie patrzał z uwielbieniem na dobrą żonę, obdarzoną szlachetną duszą, wykształconym umysłem i najlepszą pod każdym względem stanowić godność osobista, która i gustowna i pomaga swoją wzbudzić poszanowanie dla siebie, chociażby w najzepsutszém sercu człowieka.

. . . .

Te piękne cnoty z całą swoją okazałą otoczą niezawodnie każdą, w której serce od dzieciństwa zaszczepi matka, miłość Boga i święte poszanowanie Jego Boskich ustaw.

1842 r. w Marcu.

Sonety i Pieśni.

Petrarka.

Sonety i Pieśni

Petrarka.

Przekład Ignacego Kefalińskiego.

ZA ŻYCIA LAURY.

SONETY.

1.

Kto w rozrzuconych rymach szukać westchnień będzie,
Którėmi serce moje miłośne karmiłem,
W piérwocinnej młodości, miłym niegdyś błędzie,
Kiedy innym człowiekiem, niżli teraz, byłem;

Ten, gdy płaczę i kiedy serce me się skłania
Już do marnej nadziei, już marnej rospaczy,
Jeśli przebył gorączkę młodzieńczą kochania,
Uroni łzę litości, i chętnie przebaczy.

Dziś, kiedy czas powoli ślepy zapał studzi,
Widzę, że długo byłem powiastką dla ludzi,
I z tego sam przed sobą często się rumienię.
Wstyd mi tylko zrodziło moje uniesienie,
I tę prawdę odwieczną z żalem we mnie budzi,
Że co miłe na świecie, jak sen krótko łudzi.

25.

Im więcej dzień ostatni do mnie się przybliża,
A ten kres krótkim czynią kłopoty człowieka,
Tém więcej czasu bytność wydaje się chyża,
A w nim miana nadzieja zdradziwszy ucieka.

Mówię do myśli ciesząc, gdy ją żal poniża,
»Już nasza przykra droga końca niedaleka,
Ciało stopnieje jakby warsta śniegu świeża,
Cichy, słodki i wieczny pokój na nas czeka.

Upadek mej budowy nadzieję przygniecie,
Co długich, słodkich marzeń była stworzycielką;
Śmiech i płacz, trwoga z gniewem ulecą ode mnie.
Wtenczas jasno poznamy prawdę nader wielką,
Jak często w niepewnościach żyjemy na świecie,
I jak często westchnienia męczą nadaremnie.

98.

Ta piękna bladość, co śmiceh czarowniczy
Lekkim okrywa miłości obłokiem,
Gdy przed mym stanie zadziwionym wzrokiem,
Całe me serce posiada w zdobyczy.

Wtedy jéj duszę widzę duszy okiem,
Jak święci widzę w krainie słodyczy:
I myśl niczego już więcej nie życzy,
I wzrok tym jednym zajęty widokiem.

Wdzięk najpiękniejszy i postać anioła,
Czy to w dziewicy, czy w bóstwie kochania,
Niczém jest przy niej, zrównać się nie zdoła.
Zda się, widziałem, oczy w ziemię skłania,
I milcząc słodkiém zasępieniem woła:
»Któż jest przyczyną naszego rozstania?...

102.

Jeżeli to nie miłość, cóż mię więc porusza?
Jeśli to miłość, przebóg! cóż jest i rzecz jaka?
Jeśli dobra, dla czego jest w niej gorycz taka?
Jeśli zła, czemu słodka każda jej katusza?

Jeśli z mej woli płonę, cóż mię płakać zmusza?
Jeśli pomimo woli, na cóż się płacz przyda?
Miłości, ty śmierć żywa, ty roskoszna bieda,
Jak możesz władać duszą, jeśli nie chce dusza?

Jeśli chce, to mnie płakać wcale się nie godzi,
Bom się puścił na morskie, wzdęte wichrem, wały,
I w kruchej, i bez steru, i bez wiosła łodzi,
Lekkiéj w mądrość, bo z błędów jej ładunek cały.
Sam nie wiém czego żądam i o co mnie chodzi:
W czas letni znoszę mrozy, a zimą upały.

123.

Widziałem obyczaje anielskie bez skazy,
I piękności, co w sobie piętno bóstwa noszą;
Ich wzmianka mnie napełnia bolem i roskoszą:
Wszystko inne, co widzę, cień i mdłe obrazy.

Widziałem, jak się we łzach te dwa światła roszą,
Co budziły i w słońcu zazdrość tysiąc razy:
Słyszałem wymawiane z westchnieniem wyrazy,
Które rzeki wstrzymują, a góry przenoszą.

Smutek, pobożność, miłość i rozum z odwagą,
Wylewały swą boleść w czarującym śpiewie,
Któremu nic równego człowiek nie usłyszy.
Niebo słuchało pienia z tak wielką uwagą,
Że się żaden listeczek nie ruszał na drzewie:
Świat się poił słodyczą i wiatr usnął w ciszy.

129.

Trawki błogosławione, szczęśliwe kwiateczki!
Które moja bogini depcze tyle razy;
Dolino, która słyszysz jej słodkie wyrazy,
I kryjesz piękne ślady drobniuśkiej nóżeczki:

Wysmukłe drzewka młode, wiotkie gałązeczki,
Gaju, co sieczesz czołem słoneczne promienie,
Gdzie mieszka chłód roskoszny i wieczyste cienie,
Milutceczkie, błękitne, skromne fiołeczki,

I wdzięczna okolico, i jasny potoku,
Co służysz do przemycia jej twarzy i oku,
Przez co się stajesz czystszym i świętym strumieniem;
O jakże wam zazdroszczę miłych spraw Anioła!
Ach! takiej żadnej skały niema tu dokoła,
Którejbym nie nauczył goreć mem płomieniem.

207.

Dwie róże rwane pewno w rajskim gaju,
Dar podeszłego mego przyjaciela (*),
Który zarówno dnia pierwszego w Maju,
I mnie i Laurze po jednej udziela,

Z tak słodką mową, ze śmiechem wesela,
Że człek z dzikiego wzruszyłby się kraju;
Okiem miłośnem i mówiącem strzela,
Że się płonimy jak te róże z raju.

»Miłość, jak wasza, i dla Boga nowa,"
Rzekł on; lecz razem uśmiecha się, wzdycha,

(*) Domyślają się, że to *Sennuccio del Bene*, który w czasie przechadzki Laurze i Petrarce dał po róży.

I uściskawszy twarz wzruszoną chowa.
Zginęły róże, uleciały słowa,
Lecz dusza pije ze wspomnień kielicha;
Dzień ów szczęśliwy, słodka ta wymowa!

210.

Co Bóg może, chcesz widzieć oczami swojemi?
Idź, gdzie świeci me słońce, najmilsza istota,
Nic myśl, że to się zdaje gdy miłość zaciemi,
Świat tak sądzi, choć jego nic obchodzi cnota.

I pośpieszaj, śmierć bowiem pozbawia żywota
Zawsze najpierwiej lepszych, a pogardza złemi:
Niebieskie ją czekają otworzone wrota,
Bo piękność przechodząca i krótka na ziemi.

Ujrzysz w niej, gdy w czas przyjdziesz, wszystkie cnoty razem,
Wszelką piękność i wszystkie chwalebne zwyczaje;
Tak ślicznej duszy równie śliczne jest pokrycie.
Nazwiesz mój wiersz jej słabym i niemym obrazem,
Powiesz, że przed tém światłem dowcip mój ustaje:
Jeśli się spoźnisz, będziesz płakał całe życie.

218.

O gdyby pomsta mogła być z tej wzięta,
Której mię gubią spojrzenie i słowa;
Na większy smutek jeszcze mi się schowa,
Kryjąc niedobre lecz słodkie oczęta.

Ostatki mego znękanego ducha
Dręcząc i niszcząc wysysa pomału;
Raz jak lew serce ryczy od postrzału,
Znów jak gołąbek tęskny w nocy grucha.

Dusza, co może przez śmierć wyjść z siedliska,
Dziwi mię mocno, jak jej towarzyszy?
Bo do niej leci, gdy swobodę zyska.
Równie mię dziwi, jak wśród nocnej ciszy,
Gdy dusza mówi, płacze i ją ściska,
Śpi moja droga, chyba że nie słyszy?

PO ŚMIERCI LAURY.

6.

Myśli! dajże mi pokój, wchodzić nie chcę w zwadę,
Czy nie dosyć, że miłość, dola i śmierć sroga,
Spiknęły się dokoła na moją zagładę,
Czyli i wewnątrz jeszcze potrzeba mieć wroga?

O serce! ciebiem wzywał, kiedy zewsząd trwoga.
Chciałem się w tobie ukryć, lecz postrzegłem zdradę;
Z twej woli cię posiadła mych wrogów załoga,
I ty na mnie, jak widzę, weszłoś z nimi w radę.

W tobie bez mojej wiedzy miłość przebywała,
Ty dręczącą myśl rodzisz i szlesz tego kata,

Ty na mękę wspominasz szczęśliwe godziny,
W tobie tkwi zawsze śmierci ta pamiętna strzała,
Co mnie winna, nie Laurę, zgładzić z tego świata;
O serce! moja zguba z twojej to przyczyny.

77.

Duch mój czerpał swe życie z najpiękniejszych oczu,
Z twarzy świetnej, jak gdyby niebieskiej królowy,
Z jaśniejszego nad złoto i słońce warkoczu,
Z najsłodszego uśmiechu, z najsłodszej rozmowy,

Z rąk i ramion prześlicznych, na których spojrzenie
Najmniej czułe na miłość serce wolność traci,
Z drobnych nóżek, co wiatru wyprzedzają tchnienie,
Z całej ulanej w raju anielskiej postaci.

Dzisiaj tym czarującym i cudnym obrazem
Cieszy się Król niebieski i skrzydlate gońce,
A ja bez niej zostałem martwym, zimnym głazem,
Tylko duch mój pokrzepia tej nadziei słońce,
Że ta, co widzi z nieba serce me cierpiące,
Uprosi to u Boga, że będę z nią razem.

ZA ŻYCIA LAURY.

PIEŚŃ 17.

Z myśli do myśli i z góry na górę
Miłość prowadzi; a znana drożyna
Coraz wspomnieniem serce mi rozrania.
Gdzie strumień miejsce przebiega ponure,
Gdzie siedzi ciemna wśród wzgórków dolina,
Tam smętna dusza koi swoje łkania:
I jak miłość ją nakłania,
W płacz lub śmiech wpada, w rospacz lub nadzieję:
A twarz, co zwykle za swą duszą chodzi,
Chmurzy się lub wypogodzi,
Ciągle się mieni, blednie, czérwonieje;
Człek doświadczony patrząc na to powie:—
»On płonie, jego niebezpieczne zdrowie."

Staję, gdzie jodła lub wzgórek zacienia;
Myśl bierze z serca miłej obraz żywy,
Wnet go rozkłada na piérwszym kamieniu,
A jak do siebie przyjdę z omamienia,
Widząc się we łzach, wołam:—»Nieszczęśliwy!
Gdzie to zaszedłeś? Za coś w oddaleniu?"
Lecz gdy przy piérwszém marzeniu,
Przy lubych rysach wstrzymam myśl zbłąkaną,
I patrzę na nią, i zapomnę siebie,
Wtedy wiém, co to być w niebie.

Te lube błędy za prawdę mi staną:
W tak wielu miejscach, tak ładną oglądam,
Że niech błąd potrwa, niczego nie żądam.

Nieraz, lecz nie chce nikt wierzyć podobno,
Widziałem żywą w kryształach strumyka,
W buku zielonym i w kwiecistej błoni,
I w białej chmurce, ale tak nadobną,
Że wdzięk Heleny przed jej wdziękiem znika,
Jako jutrzenka przed słońcem się chroni;
Im w dzikszej jestem ustroni,
Im w samotniejszym i smutniejszym kraju,
Tém ją piękniejszą moja myśl przedstawia;
Ale gdy prawda pozbawia
Tak przyjemnego słodkich marzeń raju,
Na martwej skale siadam,—skała żywa,
Jak ten, co myśli, pisze, ubolewa.

Kędy na szczytach leżą wieczne lody,
Kędy wznioślejsze i spadzistsze góry,
Tam się to wdzierać mam upodobanie:
A łzami spędzam czarne smutku chmury,
Które sciskają serce niesłychanie.
Gdy w myśli i oczach stanie
Piękne oblicze i dwie rajskie zorze,

Co tak daleko i blisko ode mnie,
Znów serce mówi tajemnie:
»Co ty wiesz biedny, ot może w tej porze
Twa nieobecność westchnienie wyciska."
Na tę myśl dusza wnet pokój odzyska.

Pieśni! za témi Alpami,
Gdzie niebo milsze i wypogodzone,
Mnie nad biegącym obaczysz strumieniem:
Tam laurowém, wonném tchnieniem
Świeże powietrze całe napełnione:
Tam serce moje, i ta, co je trzyma,
A tu masz tylko cień mój przed oczyma.

PO ŚMIERCI LAURY.

PIEŚŃ 6.

Gdy sen, przyjaciel wierny i miły,
W słodkiem objęciu krzepił pokojem
Życia mojego zmęczone siły,
Ujrzałem Laurę przy łożu mojém.
Wtedy mię miłość i trwoga zdjęła;
Rzekłem:—»Zkąd duszo błogosławiona?"
—Lauru i palmy rószczkę wyjęła
Z najpiękniejszego łona,

Mówiąc :—»Przybytek boski
Rzuciłam twoją nędzą wzruszona,
Aby pociechą ukoić troski.

Najczulsze dzięki składam w pokorze;
Pytam :—»Zkąd moja znana ci nędza?"
—»Łez twoich, powie, wezbrane morze
Wicher twych westchnień do mnie zapędza,
I miesza moją spokojność w niebie;
Także zasmuca ciebie,
Żem poszła z tego nędzy pobycia
Do szczęśliwszego życia?
Jeśli tak kochasz, jak mówisz wiele,
Mieć powinieneś z tego wesele."

Rzekłem :—»Nad sobą oko łzę toczy,
Jestem w ciemności, w srogiej katuszy:
Pewnym o szczęściu rajskiem twej duszy,
Jak gdybym widział na własne oczy.
Na cóż od Boga w tak młodém łonie
Najdoskonalsza złożona cnota,
Gdyby nie było po zgonie
Zgotowanego w niebie żywota?
Ty jesteś jedna z tych świętych istota,
Co wiodąc górne na ziemi życie,
Wzlecieli prędko w rajskie pobycie.

Lecz mnie zostały płacze i jęki,
Niecem bez ciebie, sam wśród żałoby;
Oby mię z pieluch ukryły groby,
Dla niepoznania miłośnej męki!"
A ona:—»Porzuć płacze niewczesne,
Czy wznieść nie lepiej nad ziemię skrzydła,
Niedbać o rzeczy doczesne,
Ni o te zrazu słodkie mamidła,
Co potém tyle bolesne?
Jeśli mię kochasz, idź w ślady moje,
I zerwij sobie gałązek dwoje."

»Chciałem się pytać, przerwę jej mowę,
Co te dwie mają gałązki znaczyć?"
A ona:—»Możesz sam wytłumaczyć,
Ty, coś tak sławił drzewo laurowe.
Palma—zwycięztwo; bom jeszcze młoda
Świat zwyciężyła i samą siebie:
Laur znaczy tryumf,—słodka nagroda,
Co z łaski bożej posiadam w niebie:
I sam się staraj, i w tej potrzebie
Zwróć się do Boga, wzywaj pomocy,
Abyś był ze mną po życia nocy."

—»Też to są włosy złotych warkoczy?
Te więzy moje? Też piękne oczy?

To słońce moje?"—»Błąd nierozwagi,
Rzekła, niech z gminem ciebie nie zaciemia;
To, czego szukasz—już dawno ziemia.
By ulżyć twojej żałobie,
Mnie postać dawną wziąć było można;
Piękniejszą, milszą zostanę tobie,
Gdy surowa i pobożna
Na twe i moje zbawienie zarobię."

Płaczę, lecz od jej bielutkiej dłoni
Łzy otarte z mojej twarzy,
I poźniej słodkie westchnienie roni,
I słowa, które głazby wzruszyły;
A potém znika, i z nią sen miły.

Żegluga Poety.

Żegluga Poety.

(UŁOMEK).

Co za nieznośna południowa spieka!
Ten obraz brzegów, co się szkłem wody powleka,
Tak tu czaruje, zachwyca,
Jak uśmiech spłakanego niewinności lica,
I nie ten tylko wdzięk tu jedyny;—
Ta wioska w głębi, ten gaik zielony,
Ten brzeg pasmami wzgórków pogarbiony;

Wszystko to oczom wdzięk miły;
Ale śpieka południa odbiera mi siły,
I moja brzoza o zwisłym warkoczu
Po rozlanej Bereźny milczącem przezroczu
Omdlałe rozsiewa cienie,[1]
I mojego wiatru tchnienie,
Co mnie tak zawsze bawi szumem tego drzewa,
Jakimeś skwarem dziś ziewa.

Jednakby trzeba już było
Z takim nieznośnym oswoić się stanem,
Bo czy mi raz się zdarzyło,
Z rospaczą w piersiach, z okiem obłąkaném
Biedz za ochłodą, i po obiegu,
Nowe przy dawnych znaleść męczarnie.

Zbliż się, czółenku, do brzegu!
Wczołgaj się tutaj przez miękkie darnie,
I na staw cichy nieś mię pomału:
Rzeźwiejszy wietrzyk może tam powionie,
I lżej odetchnę pośród wód kryształu.
W kłosów złocie, w fali łonie,
Ogień słońca cicho płonie,
Wygładza zwierciadła fali.
Dalej moja łódko, dali!
Niechaj choć woda o twój bok pluszcząca
Tę uroczystą ciszę zamąca.

Dalej moja łódko, dali...
Co, co? wietrzyki powiały,
Tu obok jeden pierzchnął na fali,
A tam na brzozie ocknął się mój mały.
A tu z pieśniami żniwiarek
Leci nad łąki przez jarek,
I wzlatuje i ustaje,
A śpiew przybliżać się zdaje:
Dalej, dalej moja łódko!
Ty, wiosło, pluskaj cichutko,
A ty, wietrzyku doliny
Leć tu z piosneczką dziewczyny.
Otoż i ona płynie w fali kłosów.
W długim promieniu rusawych włosów,
Na jej koszuli, co rażącą bielą
Do połowy ją osłania,
Kwiaty jakby wiosny tkania,
Po obojém ramieniu pękami się ścielą
I wyniosłe łączą łono.—
Wyżej i niżej kolana,
Na ciemniejszém tle stroju koła obwiedziono,
Wszystkie żywej tęczy wdzięku
Mienionemi farby płoną.
Pod niemi nóżka biała i lekka jak piana,
I pęk bławatków w jéj ręku.

Tak się nad wodą dziéwczę sadowi,
Kwiatek do kwiatka plecie trawką miętką,

Zręcznie i prędko
Zbliża koniec ku końcowi.
A gdy już wianek gotowy,
Chce go przymierzyć do głowy;
Nad lustro wody się schyli.
Wiatr dmuchnął, wianek spada; wiatr dmuchnął po chwili
Wianek daleko, daleko,
A ona wstaje, spoziera na mię,
Z cichym bolem ręce łamie,
Ciche łzy ściska powieką.

Poczekaj, poczekaj dziewczyno!
Obetrzyj ze łzy źrenice:
Fale z wiankiem nie upłyną,
Pośpieszę czółnem i wianek uchwycę;
Wrócę go tobie dziewczyno!
Mówię i spieszę jak mogę.—
Co to za dziwna istota?
Patrzy na wianek, na mnie w milczeniu,
Daje znak w ręki skinieniu,
I tonie wśród kłosów złota.

Ach! ona taka piękna, jak moje marzenia;
Znikła, z nią me nadzieje i kwiatki jej wianka.
Przeszły moje marzenia, jak dziewicze pienia,
Nadzieje odkwitły, jak z kwiatów wiązanka.

I za cóż moje szczęście ma takie zawody,
Gdy szczęście innych tak mnie mocno wzrusza?
Przebyłem tyle nadziei, a tak jeszcze młody!...
A jednakże moja dusza
Podobna do gładkiej wody,
Po której komar niech pierzchnie,
Zmąci już jej powierzchnie.
Ach! za cóż moje szczęście ma takie zawody?

O błogosławione chwile
Młodości gienjusza,
Świat mu goreje, jak jego dusza,
Mysl jego lekka, jak skrzydło motyle,
Wolna od więzów ziemskości,
I od ziemskości zepsucia;
Czerpa serafickie czucia
W ognistym zdroju pierwotnej światłości.
Tak wtedy czuła i żywa
Wszystko pojmuje, wszędzie się rozlewa!
Wśród harmonijnej światła i wdzięków powodzi,
Rozgorzała miłością serca dziewiczego,
Chce miłości od wszystkiego,
I we wszystkiem ją znachodzi:
I w źródle swojem tonąca,
Jak w tych wodach ten krąg słońca,
Przechodzi przepaść życia, spokojnie, wspaniale,
Jak to słońce, przez te fale.

Lecz cóż jest nasze istnienie?—
Kropelka wody u kwiatów dzbanuszka;
Otrzęsie ją lada tchnienie,
Pochłonie ją lada muszka.—

Ten ułomek należy do najwcześniejszych utworów naszego znakomitego poety *Seweryna Goszczyńskiego*; wypisałem go ze sztambucha *Ignacego Sarneckiego*.

List J. K.

List J. K.,

Opisujący podróż do Odessy i pobyt jego w tém mieście.

WYJECHALIŚMY z *Podlisówki* (*) późnym wieczorem, wcale niespodziéwając się tak ciemnéj nocy, jaka nas spotkała; powietrze po dziennym upale było tak chłodne, że dobrze płaszczami okrywać się musieliśmy. Mimo

(*) Wieś w guber. Podolskiej, w powiecie Jampolskim.

niewidnéj nocy, zauważałem, iż między dwóma górami długośmy jechali, zrazu po nad rzeką, potém przez jakąś wioskę; tu wzięty z *Podlisówki* przewodnik, zostawił nas, a my, przebywszy, jakby jakie morze, rozległe pole, dostaliśmy się do lasu. Już i oczy sen zmrużał, już i konie ustawały, a my wciąż jechaliśmy tym lasem. Na godzinę przed świtem zatrzymaliśmy się w jakiejś karczmie, aby i koniom i samym wypocząć, lecz nader krótki był ten wypoczynek, albowiem skądeś licho przyniosło assesora; nuż on żyda ciągać, krzyk, hałas, wrzawa; trudno spać—wstajemy, ale słońce piérwéj wstało, i w całym majestacie promieniło nad lasem. Nim konie zaprzężono, nim lokaj się rozpłacił, poszliśmy naprzód. Wyobraź sobie, jak to przyjemnie niewyspanemu spacerować.

Droga széroka, wygodna—jak szpaler włoskiego ogrodu; lip i brzoz długie warkocze pięknym baldakimem ocieniały boczne ścieżki; po obu stronach las gęsty zielony, rozlegający się śpiewem przebudzonych ptasząt. Ale te przyjemności gasły w miarę powiększającego się błota; widać kilko dniami piérwéj musiał deszcz spaść ulewny, bo po drodze wszędzie stały kałuże.

Tegoż samego dnia, dość wcześnie, przybyli-

śmy do *Olhopola*, furman najęty wrócił sobie do *Tulczyna*, a my, wziąwszy pocztę, ruszyliśmy dalej. Coraz oddalaliśmy się od *Pobereża* i *Ukrainy*, coraz nowsze obrazy pol, gór i wiosek przesuwały się jak w panoramie, coraz natura zdawała się być odmienniejszą, rozrzadzały się lasy i karłowaciały, równiny długie, rozległe, jednostajne, wciąż po sobie następowały.

Pierwszy raz zobaczyłem w *Bałcie* takie mnóstwo wietrznych młynów, w jedném miejscu zgromadzonych, iż zdaje się, gdyby pozbiérać wszystkie wiatraki z *Podola* i *Ukrainy*, jeszczeby nie wyrównały liczbie tutejszych. Niezwyczajny to widok: na wzniosłych górach ogromne ich skrzydła białe, to szare, w nieustannym ruchu, jakby jakie żywotne istoty, zdają się natężać wszystkich sil do lotu, ale ciężar ciała nie pozwala im wzbić się w obłoki. *Balta* ma wiele pięknych i murowanych domów, błoto na wiosnę i w jesieni nie zbrodzone, i jarmarki na bydło i konie ogromne. Rano byliśmy w kościele, a po mszy ruszyliśmy nową i bliższą drogą na *Słobodę*, a teraz miasto powiatowe *Ananiowe*.

Wyjechawszy na górę, rzuciłem okiem po za siebie. Wyobraź sobie nieprzejrzane obło-

gi, po nad drogą gdzieniegdzie tylko poryta ziemia, zasiana bez porządku i wymiaru, chatki najnędzniejsze, bo ni drzewa, ni kamieni, z którychby tutejsi mieszkańce mogli je sobie budować. Szczęściem, że mają choć glinę, która im służy do lepienia ścian; dachy niskie, a na dachach pełno bocianów, tak, że na jednej chatce można widzieć po cztery gniazda. Rzekłbyś, że to siedziba tych ptaków, a nie ludzi.

Ananiowa położona nad jakąś rzeczką, ale trudno odgadnąć że to rzeczka, i, jak powiadają, największa w tamtych stronach; woda jéj zakwitła, żółta, stojąca, zachwycona od śniegu i deszczu, stolica żab i komarów.

Kujalnikiem, czyli raczéj obszérnym między dwiema górami rozdołem, jechaliśmy mil kilka. Tu woda wiosenna poryła miejscami głębokie rowy, w tych rowach gdzieniegdzie, jak zwierciadła pogubione, błyszczą stojące kałuże, daléj strumyk zaczyna się słabo, niepewnie sączyć, drogi gość tamtéj krainy, skupiają się ku niemu wioski, zlatuje się ptastwo, owieczki blisko niego po wzgórkach swawolą, topole i wierzby zielenią się jego brzegiem. Ale on, prześliznąwszy małą przestrzeń, ginie z powierzchni ziemi, i znowu wykrada

się w większej sile; i znowu wioski, i znowu drzewa, w końcu jakby przelękniony, że olbrzym,—morze, niedalekie wyciąga ramiona, pożegnał bez powrótu i słońce i ludzi. I znowu tylko rażą oko piaski, a po górach wyschłe, wyżółkłe powiewają trawy! Mimowolnie dłoń zakrywa oczy, aby niewidzieć téj bezludnéj, tak jednostajnéj pustyni. Czasem tylko dzika Gotka w przelocie błyśnie czerwoną piérsią, albo ogorzały Czumak, nałamawszy dziewanny, roznieci ogień, a ciekawy suseł, wyskoczywszy z nory, gwiżdże lub patrzy sobie spokojnie. Orły i kruki na szkieletach wołów i koni siedzą najeżywszy pióra, i zdają się oczekiwać nowéj biesiady.

We mgle między niebem a ziemią majaczeją drzewa;— dusza się rozwesela, ciało orzeźwia. Jakże syn lasów tędy pośpiesza! Nigdy dziki Saracen z takiém uczuciem niewitał źródła ani palmy, z jakiém powitałem miasteczko *Sewerynówkę*. Kształtne domy, wygodny ratusz, piękny kościołek, drzew różnego rodzaju wielka obfitość, każda budowa niémi jak najstaranniej umajona. Na prawo od południa nad całém miastem po nad pochyłością długiéj góry w szeregach podłużnych to kwadratowych, jakby jakie nieruchome wojska, rozciągają się winnice; kilka chatek

w kształcie altanek, rozrzuconych pomiędzy niémi, są niemałą tego pożytecznego parku ozdobą.

I znowu wpłynęliśmy na stepy. Ileż uwag, ileż wspomnień przedstawiało się myślóm! Gdzie, pytałem, te koczujące narody? gdzie ich rozliczne stada, ruchome namioty?—tylko mogiły, tylko wspomnienia przeszłości drzémią na ich nagich szczytach! Tu nie jedna nasza dziewica, porwana z objęć matki, błąkała się po tych stepach z hordami Perekopców lub Nagajów, tu nieraz nasi waleczni Zaporożce z Wiszniowieckim lub Konaszewiczem staczali krwawe boje. Wszystko przeszło, tylko taż sama trawa, osnuta pajęczyną, te same burzany, tak bujne, rozległe, jak dawniéj.

Śród tych widoków, śród myśli najsmutniejszych, nowy obraz uderza oczy; oto odsłania się poważny Liman, niegdyś odnoga Czarnego morza, a dziś obszérne jezioro, brzegi jego, jak szronem, osadem solnym ubielone. Przy drodze, na górze, stoi obszérna murowana karczma, przy niej kilka szałaszów dla robotników, dobywających piaskowiec; w oddaleniu, na polu, są kopalnie tego kamienia, a który trą piłami i wywożą do Odessy na rozliczne budowy.

Właśnie dotąd jechaliśmy samémi rozdołami, teraz odkryła się nieobejrzana równina; tę przestrzeń można nazwać królestwem wolnie bujających wiatrów; tumany pyłu w olbrzymich kolumnach ciągną jakby jakię ruchome wieże, albo bajeczne wielkoludy. Na wschodzie tumany niemal cały widnokrąg zasłoniły, a gdzie się niebo z ziemią zlewa, jakaś smuga ciemna, sina, przewlokła się nad poziomem.... to morze; nie długo ten wiwidok cieszy, znika jak złudzenie.... i znowu stepy a stepy. Boczne drogi coraz łączą się z wielkim gościńcem; coraz większy napływ przejeżdżających; zaczynają przebłyskiwać limany, przy których miejskie folwarki, sady, jak barwinek zielenieją; jakaś słoboda, karczma duża ale pusta, gdyż nic w niéj nie było prócz wódki; poczta już ostatnia, w lewo zatoka morska, kilka porządnych domków, murowana studnia, obszérne piaszczyste błonie i.... *Odessa.*

Po tak przykréj podróży z radością wjeżdża się do tego miasta. Domy piękne, wspaniale, jakby pomniki wyszukanego gustu, stoją po obu stronach szérokich ulic, po większéj części jeszcze nowe, nie obielone; ale te głazy szare mają w sobie coś starożytnego, coś tak uroczego, że nie śmiałbym ich nigdy

kielnią dotknąć. Obok wygodne chodniki obsadzone akacjami. Minęliśmy pałac Naryszkina, Aleksandra Potockiego, i stanęliśmy w hotelu Ryszeliewskim.

Cudowny mieliśmy widok z naszych pokojów na najpiękniejszą część miasta i na morze. Staliśmy w najokazalszéj ulicy — Naprzeciw była kupiecka bursa, ciągły koło niéj ruch. Rano i po południu, zbierają się wszyscy kupcy, ajenci i komisanci do tego gmachu; ktoby rozumiał, że dla samych narad, układów,—gdzietam; oto grają sobie w karty, w bilard, piją szokolatę, kurzą fajki, cygaro. Na lewo był teatr, szykowna, piękna budowa. Wewnątrz dekoracje czarujące, uporządkowane, eleganckie, gustowne, przestronne, wygodne. Ciągle tu są grywane opery włoskie i przez Włochów, śpiew w większéj części piękny, orkiestra umiejętnie dyrygowana. Za teatrem na prawo stoi nowo wzniesiona bursa z pięknym portykiem i kolumnadą, u jéj stóp na walach kilko-piątrowych, niewielki ogródek, a wewnątrz jedna z sal, obrócona ku morzu, ze ścianą niemal całą szklanną; w téj miały być umieszczone teleskopy dla prędszego rozpoznawania nadchodzących okrętów. Za tym gmachem co za widok! dawniéj o nim jak we śnie tylko

marzyłem. Niby las, zawieszony w obłokach, stérczą maszty, a na ich szczytach migają chorągiewki i bandery, jako mak różnofarbny: a dalej puść oko po tej szklannej równinie,— nigdzie punkcika, gdzieby mogło odpocząć, tylko odbite chmury, tylko lekko goniąca się fala, łamiąc promienie słońca, sypie z swojego łona topazy i brylanty — a w tém promienicjącém złudzeniu, szarzeje jak obłoczek jakiś mały rybołowek, coraz wydatniejszy, coraz powiększa się jego objętość, jakaś smuga czarna za nim się przewlekła— to dym, buchający z jego wnętrzności — skrzydła łabędzie poziomie rozpostarł, roztrąca, wydyma kipiącą się wodę i gubi za sobą dwie mléczne drogi; — to okręt parowy!

Od nowéj bursy do pałacu Hrabiego Worońcowa, t. j. wzdłuż linji najpiękniejszych gmachów, po nad wyniosłością brzegu morskiego, ciągną się bulwary; są to cztéry szérokie ulice, porozdzielane między sobą jaśminami, bzami, akacją, otoczone barjerą, opatrzone kanapkami. Tu każdego wieczora można widzieć cały piękny świat zgromadzony. Damy powystrajane świéżo, modnie, każde bando scielone osobnym łańcuchem, jak fale płyną po ulicy. Mężczyźni, jak na bal strojni, jedni chodzą, a drudzy stoją i lornetku-

ją. Jest to poprostu jarmark, pokazać, a jeśli się uda i sprzedać swoje wdzięki. W samym środku bulwarów jest pomnik na cześć Riszcliego wzniesiony, stoi na pedestalu szarego marmuru, brązowy, w todze rzymskiej, i ręką wskazuje na morze— powinienby wskazywać na miasto: morze i przed nim było, a miasto on zakładał. Z portu także niéma się czego chlubić, bo dosyć zły, na mieliźnie piaszczystéj ciągle zamulany, co rok muszą groble w morze pomykać, — lepiéjby zrobił gdyby przy ujściu Dniestru założył takie miasto, mieszkańcy mieliby wodę, a *Podole* i *Pobereże* łatwiejszą dostawę swych produktów. Palac Hr. Worońcowa ze strony portu Krymskiego (albo krajowego) najkorzystniéj się przedstawia. U stóp jego wysoka góra, ubrana drzewami, nad któremi w stylu iońskim nakształt cyrku lub amfiteatru półkolem w dwa rzędy najpiękniejsza wznosi się kolumnada; na lewo, głębiéj za pałacem i tarasem, jakby jedna kolosalna ściana, z kilko-piątrowych kamienic.

Masz tedy jakiekolwiek wyobrażenie o zewnętrznéj postaci tego miasta, a teraz coś jeszcze napiszę o naszém towarzystwie, zabawach i obecnym handlu.

Jeśli kto ciekawy, i chce *incognito* widzieć

goszczącą tu płeć piękną, niech ruszy po magazynach: w tych świątyniach Mamona, znajdziesz w każdej porze zatrudnionych, zakłopotanych, najmniej kilkanaście miłych i pięknych twarzyczek — Ależ bo te magazyny Odeskie prawdziwie są czarujące; jakie w nich bogactwo, a ile najświeższego gustu, a taki zapas wszystkiego, iż dziwić się potrzeba, kiedy i jakim sposobem można to spieniężyć! Taniości tu niema, ale za to zajwyborniejsze gatunki.

Są tu sztuczne wody mineralne;—nie wadzi i tam zajrzeć. Każdego ranku podstarzali mężczyźni, młode mężatki, zdrowe i chore panienki, ustrojone w gustownym negliżu, przechadzają się po salonie ze szklankami w ręku. Ta, niby omdlona, gubi się w dumaniach, owa żywa, wesoła, biega z drugą wietrznicą, śmieje się, rozprawia; inna gra z jakimś mężczyzną w chiński bilard; dziesiąta przechadza sie poważnie niby ptak Junony. Po spełnieniu kilku przepisanych kubków wody, rozjeżdżają się po domach. Do kościoła katolickiego, który tu jest jeden tylko, co niedzieli wielki zjazd bywa; tu się także damy w najświetniejszych prezentują ubiorach;—gatunek emulacji, gdyż każda chce okazać, że ma gust, i wszystko na niej nowe, eleganckie.

W początkach, zabaw prawie żadnych nie było; choć zjechało się kilkanaście domów polskich, ale, jak zasklepiona gąsienica, wszyscy siedzieli cicho, samotnie. Młodzieży na chęciach do zabaw nie zbywało; opery, spacery, cukiernie, już po części uuudziły, zaczęli więc dla siebie dawać obiady, ale smaczny półmisek i butelka, ani ich prawdziwie ucieszyć, ani rozweselić mogły. Trza było koniecznie towarzystwa i zabaw, któreby płeć piękna ożywiać zechciała: a tu, jak na złość, każdy z panów żonkosiów, to tym to owym się wymawia — Dać balu żaden nie chce, bo dla poratowania zdrowia, a nie dla dawania balów przyjechał, a wreszcie jeden na drugiego oglądał się i wszyscy siedzieli: wtém Pan Bóg zesłał nam Prezesa T., ten ośmielił ducha, przywrócił dobrą harmonję i powstały pod nazwiskiem herbaty skromne wieczory; nie było na nich żadnéj wystawy, muzyka nie wielka, ale prawdziwie piękna, herbata, konfitury i frukta, całe przyjęcie, ale za to tańców co niemiara. Trzy razy na tydzień były takie wieczory, koleją dawane przez wszystkie domy tu bawiące.

Zbożowy handel nagle był się zatrzymał. Okrętów w zagranicznym porcie dosyć stało, i codzień ich liczba przybywającémi powię-

kszała się, lecz pokupu nie było; powoli okręty greckie zaczęły kupować pszenicę, ale zawsze z jakąś obawą, z jakiemś ociąganiem się, jednakże wieści dość pomyślne krążyć nie przestały i przy moim wyjeździe już głośno o wielkich do Liwurno zapotrzebowaniach mówiono.

tczała się; teraz pokupne nie były; powoli o-
becni giełdy zaczęły kupować pszenicę, ale
zawsze z jakąś obawą, że jakkolwiek ściągnięto
się, jednakże wiele dni upłynie nim statki
nie przebiją i przy moście w ogóle już gło-
śno o wypłacie do Liwerno zapotrzebowania od-
mówiono.

Kupajło.

Kupajło. (*)

Wspomnienie z roku 1812.

Było to nad zachodem słońca, rodzice pojechali odwiedzieć Sawrąnowy futor, a w nim

(*) Kupajło, tak lud prosty nazywa, a wedle Bandtkiego, jest Kupało: kąpiel, lecz nie bożek, jak rozumie Kajsarow: — wnosi dalej, że to jest kąpiel przez ogień, czyli oczyszczenie z grzechów u Słowian, podobne do naszej Sobudki starożytnéj, która się obchodzi z uciechą wiejskiej mło-

dużą pasiekę, basztan, i piękny len, który po nad rozłogi futoru, zaścielał się jakby kitajką zieloną. Młodsze rodzeństwo porzuciwszy nudne swe lekcje, i nudniejszego od nich dyrektora, z zachwycającą radością towarzyszyło rodzicóm, a starsze siostry dzieliły zemną moment nad czytaniem tkliwych Dum Niemcewicza. Wśród tego przeleciał głos z drugiego pokoju Maryjki dziewczyny: «porzuć Olanko krosienka, pójdziemy z Ksenią za dwór na tamtą stronę stawku, i nim Państwo powróci, my nabawimy się."—,,A my tam po co?" odpowie Olanka.—,,A czyż nie wiesz, że jutro będzie Iwana, a dziś jest Kupajła?"—,,A, a! Kupajła, co to przez ogień skakać i śpiewać; dobrze, dobrze, chodźmy do piekarni za Ksenią,» i wybiegły obie ochoczo, a my ciekawi tego obchodu, wyszliśmy na dziedziniec. Śliczny był letni wieczor, grono dziewcząt dworskich i miejskich z kilkoma parobkami, rozniecìwszy nad stawem ogień, i ustroiwszy gałęź wierzbową w wstążki i kwiaty, pobrawszy się za ręce ze śmiechem i śpie-

---

dzieży w Krakowskiém na Zielone Święta, a w niektórych miejscach na Wielki Piątek. Na Rusi, mówi tenże, Kupała takowe bywają na S. Jana Chrzciciela. (*Dzieje Kr. Polskiego T. I.*)

wem ogłaszali Iwana Kupała (*). Pienia te kilkokrotnie powtórzone, rozbiegły się po wsi rozległej i nie jednego rolnika powracającego z pola zajęły. Dość długo to wrzało, i kiedy rozochoceni parobcy, a za niemi dziewczęta zabierały się do przeskakiwania nanieconego ognia, na grobli pokazał się Pop powracający z Diakiem z pola. Jakby piorunem rażony, schwytuje się Dobrodziej z wozu, i krzyczy, by ten ogień zgasili i zaprzestali śpiewać, i na exekutora swych poleceń posyła z batogiem sążnistego Diaka. Jak przed jastrzębiem kurczęta rozpierzchają się po burzanie, tak wiejskie dziewoje i młodzi parobcy, na różne rozbiegli się strony. Hoża Maryjka z Olaną, jako wodze uroczystości, zbierały rychło swe wstążki. — «A przeklęte dziewki z waszym Kupajłem! wołał Diak, człek się darmo nahorował w polu, a jeszcze i tu ma usługiwać i trudzić się. Oj, gdybym którą złapał, tobym to dobrze wyhłuzdował.”

(*) Pragnąłem śpiewek stosowny do tej uroczystości z ust ludu wydobyć; lecz mimo moje usiłowania, nic podobnego nie znalazłem; jest jeden tak się zaczynający: — «Iwana Kupała, suczka w borszcz upala» i t. d; lecz mniej dorzecznym znajdując, opuściłem.

— „Cóż to wam szkodzi? ozwie się Maryjka, gdybyś i ty z nami przeskakiwał ogień, byłbyś miły, i nie jedna dziewka polubiłaby ciebie, a tak już lat kilka wdowcem, i nikt cię nie chce.”—„I ty mi jeszcze dokuczasz!» krzyknął Diak i rzucił się za obiema; ale te wpadły jak łekkie sarny do bliskiego ogrodu, i nim on do rowu przebiegł, już ich skryły wierzby; a my dość naśmieliśmy się z całej téj sceny.

Zmrok coraz przyciemniał przedmioty, już i tarkot wózków zbliżał się ku nam; wyszliśmy na powitanie drogich nam rodziców, gdy za drugim szérokim stawem zajaśniała ogniem chata Tytora. Szymek, szkolny mój sługa, zwinny i bardzo ciekawy, doniósł mi, że to Tytorówna Fedora odprawia Kupajła. Chcąc zbliska téj z pogaństwa idącéj przypatrzyć się uroczystości, przywdziałem na siebie świtkę, włożyłem duży słomiany kapelusz, i niepoznany zamięszałem się w tłumie. Śliczny był wieczór przy pełni miesiąca; lecz śliczniejszym się wydawał, gdy jak lampa po nad stawem, ów ogień zdała przebłyskiwał, i drużyna wieśniacza zabrzmiała śmiéchem, rozmową i zgiełkiem.

Podżyły Tytor Wasyl postępował przez wieś z swoim pługiem, a syn jego Makary wioząc bron kilka na wozie wyprzedził go

spiesznie, skoro tylko zoczył ogień dobrze mu znany. Nie uszło to oka i bacznego Popa, i gdy niedaleko jego obejścia (*) nadciągał Tytor, wyszedł przeciw niemu, a dawszy mu swe błogosławieństwo, gdyż go Tytor w rękę pocałował, zalecał, aby te ognie pogasili i śpiewać zaprzestali.

—,,To swawola, mówił Tytor, wy Dobrodzieju nieprzeciwicie się temu: bywało to i za moich lat młodych: lecz my starzy tego nie robimy, a młodzież niech pohula."—Srożył się jednak Dobrodziej; lecz mając wzgląd dla zasłużonego Tytora, i ceniąc jego dostatek, z którego nieraz zbierał dziesięciny, wrócił do swego domu wolniejszym krokiem, coś tylko mrucząc pod nosem.

Tytor Wasyl, był człek rostropny, twarz jego choć zmarszczkami pokryta, była jeszcze dość czerstwa, chód miał rzeski, włos rudawy pokrywał zrzadka podgoloną jego głowę, brwi nawisłe zaledwie dojrzéć dawały siwych i przenikliwych oczu. Świta czarna długa, fałdzista, z kapturem, maszestrowa czapka z czarnym, drobnym a szérokim barankiem, pas karmazynowy czerczaty, oka-

(*) Wyraz miejscowy, toż samo co zabudowania.

zywały, że to dostatni chlop ukraiński (*). Wiódł on w pługu z pogoniczem swoich 6 wołów siwych, ten częściej, hej! wołając, dawał znać rodzinie, iż ojciec idzie, i pragnie po dziennéj pracy wieczerzy i spoczynku.

Ale Fedora, ukochana córka, igrała sobie kolo ognia, z mnóstwem dziewcząt i chłopców; matka jéj Tetiana wyszła na spotkanie męża; była to szczupła i wysoka kobiéta, jéj czarne jak tarń oczy, śliczne rzęsy przykrywały, a lubo rumieniec jéj po niejednéj słabości przygasł, mimo to, była dość miła, a tém milsza, że przy łagodnéj swéj fizionomji, posiadała przymioty zalecające ją przed całą wsią, dobréj żony, matki i sąsiady. Miała na sobie koszulę z gęstémi połykami, na któréj wisiało kilkanaście sznurków korali i paciórków, a na jednym z nich dukacz i medalik Matki Boskiéj; fałdzista spodnica kałamajkowa z białym fartuchem, dodawała jéj kibitności, a chustka kramna pąsowa, pięknie okrywała głowę.

—„A gdzież dzieci?" zapytał ją Tytor.—„Ot,

(*) Na Ukrainie dotąd wieśniaczki pod pewném ziółkiem wykopują tak sławny dawniej z handlu Czerwiec, i tym farbują różne wełniane rzeczy: od Czerwca tego, zowią czerczaty pojas.

zachcieliście! igrają sobie nad brzegiem stawu, i odprawiają Kupajła."

— Ani chybię, że to Fedora tam promotorka, a nibyto nie wie, jak nasz Dobrodziej gniewa się, on to prawi, że to grzech i nie godzi się.

— Zachcieliście wy wszystko uważać; Fedora dosyć się ze mną nahorowała w ogrodzie: poogartywałyśmy kapustę, oplełyśmy kilka grządek, i dosyć nazbierałyśmy czernabylu, by chatę poobtykać; a po robocie prosiła mię, aby jéj nie bronić pohulanki.

— A wieczerza gotowa?

— Oj Wasylu darujcie! nie będzie tak skoro, bo Fedora prosiła i Makary także, ażeby dać wieczerzę dla sąsiad, jak się nabawią przy stawie.

— Ej, co tam do licha z tym Kupajłem, tuby człowiek zjadł łyżkę barszczu, a wy każecie Bóg wié póki czekać. — Potulna Tetiana już chciała przyśpieszyć wieczerzę; lecz wycmukła jak topolka, świéża jak kalina przybiegła Fedora, i całując ojca rękę, rzekła: «nie brońcie tato téj ochoty, wszak dziś Kupajła, a tak dużo dziewcząt koło brzegu, i taki pohoży wieczor, a my z mamą dość dziś się napracowały: pozwólcie! pozwólcie! niech trochę poskaczemy."—„Ale nie długo i skromnie, o-

zwie się Tytor, bo jutro trzeba na jarmark do *Stawiszcz*, i wy ze mną pojedziecie. Tetiano, zawołajcie Feski sąsiady, by z nimi była u brzegu, a Martochę komornicę przyzwijcie by wam dopomagała; tymczasem dajcie przekąsić choć z jednego knysza.» Pobiegła Fedora do stawu skacząc, a Demian parobek z drugiego kątka wsi, około lat 24 liczący, przybiegł tam także; był to zuch aż ha! a jako wdowy syn jedyny, całe gospodarstwo przy nim było, i wszelka przy nim wola. W białéj krótkiéj świteczce, suto czarnémi sznurkami szemerowanéj, w świéżo uplecionym ze słomy kapeluszu, przy którym błyszczało pawie piórko, z karmazynową na piersiach dużą zaściežką, w białych szarawarach, przodkował na czele parobków, do których i ze dworu kilku się zbiegło, a między niémi w czerkiesce granatowéj, z ponsowémi wypustkami, i w kapeluszu czarnym, kozaczek Szymek. Demian zwinny, rozhoworny i do dziewcząt udatny, był duszą téj pohulanki, on coś śmielszego sobie kmetował: bo porzuciwszy Andryja Białogrzywy, parowego gospodarza córkę, zamyślił własić się do serca Fedory, i jeśli można ożenić się z nią. Demian z drużyną swoją zaśpiewał Fedorze następną śpiewkę:

Temnaja niczka petrywoczka;
Ne wyspalasia nasza diwoczka,
Do czeredy hnala, zadrymala,
Na szpyczki oczki powyjmała,
Na peńki nohy pozbywała.

Temnaja niczka petrywoczka;
Ne wyspalasia nasza diwoczka,
Sukała puta szowkowyi,
Putala koni woronyi,
Szczoby daleko ne zachodyły,
Mylaho w pracu ne zawodyły.

Na co mu Fedora z Tetianką i innemi dziéwczęty, odpowiedziały takową piosnecczką:

Na horodi pod werhamy
Stoit konyk osidlany,
Tylko sisty, poichaty,
Tynoweckich diwok odwydaty.
Tynowecki diwki hohatyi,
Krajut rusznyczki z radnynoczki,
A toroczki z Kropywoczki.

Na horodi pod werbamy
Stoit konyk osidlany,
Tylko sisty, poichaty,
Winohradckich diwok odwidaty.
Winohradcki diwki ubohii,

Krajut rusznyczki szowkowyi,
A toroczki zołotyi.

Poczém wzmógł się większy homon: każdy z chłopców swe zaloty białolicej i czarnobrywéj lubce swego serca, jak umiał okazywał. Fedora kilka razy odepchnęła Demiana; on na to bynajmniéj nie uważał, nieraz probował z jéj palca zciągnąć pierścionek, a gdy wszyscy obtoczyli wierzbową gałęź, raptem zerwał koło, i gwałtem chciał ucałować Fedorę, lecz ta wyrwała się z jego objęć z pomocą swych towarzyszek, i nibyto gniewy i łajania powstały na parobków. Wtém Feśka, sędziwa niewiasta, zbliżyła się ku brzegowi, i dla ciotki, tak ją powszechnie zwano, zwolniały strzeliste zapały chłopców i przyzwoita skromność wróciła. — «Czegożeście osowiały moje lube dziewczęta? ozwie się Feśka: już i ogień począł przygasać, i chłopcy się rozbiegli; czy już nacieszyłyście się dowoli? wszak sąsiada Tytorowa do was tu mię przysłała, abyście się bawili, pokąd nie nagotują wieczerzy; a patrzcie! jaki pohoży wieczor. —Dobrze! dobrze! wyskoczyła Fedora, jeszcze przy was zaśpiewamy, i będzem skakać przez ogień, i co komu mile, niech się mu stanie. — O tak! tak! co komu mile,

huknęli parobcy, niech tak będzie.» Tu dziewczęta poprawiły wierzbę i pięknie ją na nowo przystroiły, a chłopcy wlekąc chrust z płotu powiększyli ognisko; po kilkokrotném okrążeniu ognia ze śpiewem, Demian zaczął przeskok, lecz chociaj i serce w nim skakało i ochota była gracko popisać się, za trzecim razem zawadził o chrust nogą, upadł jak długi i o mało swej białej świtki nie podsmalił. Smiała się do rozpuku drużyna, a Szymek zamyśliwszy na Maryjkę dworską dziewczynę, trzy razy zwycięzko przesadził, po nim z różném szczęściem probowały dziewczęta; stojąca dotąd na boku Malanka smutne mając lice, i nie jednem westchnieniem mieszając ochotę, nagle jakby z letargu obudzona, ogarnąwszy pisany swój letniczek boso przelatuje ognisko,a cała gromadka zawoła:—twój! twój będzie Iwaś! powróci on, powróci! —A gdzie Iwaś, odezwie się Feśka, czyż go tu niema?—A niema, odparł śmiały Makary; już go od dni kilku przeklęty Chorąży, wyparł z drugiémi do Kijowa w kopacze(*). On nieborak prosił Chorążego, by nie posyłał ojca w pohonie; Chorąży miłosierny, nie tylko ojca, ale i syna wysłał, a chata z jedną babą

(*) Rządca w tym majątku.

i chłopcem została się.—Ej, co tam mówisz Makary! przestań narzekać! rzekła Feśka, lecz powiedzcie, czy powróci się Iwaś?—powróci się, odezwał się Szymek: we dworze mówili, że tylko na ośm niedziel poszli kopać przy fortecy. —No, to i dzięki Bogu! rzekła Feśka. Malanko! nie smuciej, nie bierz tak do serca; a wy chłopcy zagrajcie co, i zaśpiewajcie, bo ona coś bardzo nie samowita. Demian pochwycił za dudkę, i przegrawszy kilka razy, począł z drugiemi śpiewać znaną dumkę:

Ichaw Kozak za Dunaj,
. . . .

—Jakaż to nie wesoła dumka, wyrzekła Fedora, chce się tylko płakać, i widzicie jak Małanka jeszcze smutniejsza, niż była. —Nie, Fedoro, odpowie Małanka, ja ją lubię: Iwaś mi ją śpiewał, gdy swój zastop(*) zabierał, i gdyśmy go za wieś wyprowadzały. —Trzeba innej! trzeba! ozwały się drugie dziewczęta, a Szymek porwawszy dudkę, zanócił i śpiewał następnie:

Kudyż mene powedesz,
Koły chaty ne majesz?
Powedu tia w czużuju,
Za kim swoju zbuduju.

(*) Zastop, wyraz miejscowy, to samo co rydel.

— O! nie tak, wykrzyknął drugi kochanek Maryjki, Wasylko, nie tak! — No, to zaśpiewaj, wrzasnął Szymek z dworską miną, kiedy lepiej umiesz. — Kontent Wasylko, tak zaczął:

Kudyż mene powedesz,
Koły chaty ne majesz?
Powedu tia w zahatu,
Stane tobi za chatu.

W śmiech wszyscy: — Otoż to gospodarz! a Szymek biorąc to za przymówkę, gdyż nie był gospodarskim synem, i nie miał własnej chaty, rzucił się na Wasylka, i gdy do kułaków doprawdy przychodziło, przybiegł Makary i inni, powstała ciotka Feśka, a uspokoiwszy zwadę, znowu prosiła Szymka, by dokończył swej piosenki; znowu Szymek poprawiwszy kapelusza, począł śpiewać:

Zbuduj meni z łobody,
Do czużoi ne wedy:
Bo czużaja takaja,
Jak świkrucha łychaja.

Oj! wyjdu ja na seło,
A na seli weseło.
Nechaj lude wsi znajut,
Szczo ja tebe kochaju.

Oj! sosonka na łoku:
Zdy mia diwcza do roku.
Jab rozumu ne mała,
Szczob do roku czekała.

Deńbym kosyw, deńbym żaw,
Szczobym tebe diwcza wziaw;
Ani kosy, ani żny,
No naważy, taj woźmy.

Oj du du du du du du!
Rodyłamsia na bidu:
Horszkom wodu nosyty,
Sołomoju topyty.

Gdy Szymek skończył, inni swoje dumki wygrywali, śpiewali, a Demian poszedłszy razy kilka w przesiudy, porwał Fedorę, Makary młodziuchnę Tetiankę, inni resztę dziewcząt, i tańczyli parami skocznie rzesko i wesoło.

Wśród takiej hulaszczej ochoty i gwaru, kiedy już sobie Tytor odpoczął i cokolwiek przedrzémał, zeszedł na dół poważnie, i zawołał: — Dosyć chłopcy, dosyć! prosimy was wszystkich na wieczerzę: chodźcie do nas, a co Bóg dał, tém was ugościmy. — Dziękujemy wam, Panie nasz Tytorze! a jednak wszyscy zbiérali się ku chacie; tymczasem Demian,

Wasylko i Szymek polecieli skrycie ku karczmie, do Moszka arędarza.

Już stół długi a wązki, zakryty ręcznikami i skatyrką, obsiadły strudzone dziewoje, w końcu siadł zaproszony z żoną sąsiad Andryj Hałowczuk poczwórny gospodarz; obok kumy Feśki i swej żony, z drugiej strony usiadł Tytor, około niego parobcy i czeladź; Fedora z komornicą Martochą, ustawiali czerepiane i drewniane talerze, podawali łyżki. Najpierwej knysze i pieczone pirogi z kapustą odwiedziły, jako w post pietrowczany, tę wieśniaczą ucztę. Tytor do Andryja rozpoczął czarkę wódki: —Prosimy! prosimy na chleb i sól!— obiły się stokrotnie przez obojga gospodarstwa wyrzeczone słowa; tymczasem trzej owi nadeszli z karczmy. Ukłonił się nisko Demian, i rzekł: —darujcie Panie gospodarzu, że my do waszej chaty śmieli przynieść dary. —No! cóż tam takiego? odrzekł Tytor? —At! zachcieliście Panie Tytorze, to my z przeproszeniem, przynosimy piwo dla dziewcząt, a dla starszych, jeśli nie będziecie się gniewać.... —I cóż tam? mówcie! —Wiszniak! —O chłopcy! cóż to, wy chcecie nas popoić; tu spojrzał na gospodarza Andryja, a ten wyrzekł: —niewyłączajcież kumie i parobków, i oni po czarce wypiją.

Cóż z wami robić! postawcie na stół, a prosimy pierwéj na czarkę wódki. — Uśmiechnęli się trzéj przybysze na to słowo, i nie opuścili swéj kolei, a potém zwolna i do syta powtarzały się dania: barszczu z więdłą rybą, kaszy jaglanéj z makowém mlékiem, i wkońcu z czosnkiem utartym i pozłoconych olejem, smakowitych pampuszek.

Wieczerzę tę przerywały częste rozmowy, żarty i huczne śmiechy; świeczka na stole w glinianym świeczniku i skałki z dziéwanny utkwione w przypiecku, oświecały całą izbę, do których księżyc w pełni mięszał swoje blade promienie, i jakby w salonach z góry nakształt jarzęcych świateł, posyłał one do skromnéj biesiady wieśniaków; gdzie samo szczęście i zdrowie gościło wówczas, gdy świat polityczny, uzbroiwszy południe przeciw północy, tonął w krwi. Wojna, okropna wojna, przebiegała najodleglejsze puszcze Litwy, i tylko jedne stepy *Ukrainy*, jakby na krańcu wzburzonego morza ustronne jezioro, cieszyły się spokojnością, i wszystko tam na łonie pracy i obfitości zasypiało.

— Na co ten czernobyl nad oknami? zapytał się Szymek Tytora. — A tyż masz matkę lekarkę, i nie wiész? — Nie wiém, dalibóg nie wiém, Panie Tytorze! — Tu Martocha

biegła czarodziejka, odezwała się. —Wszak może nieraz słyszeliście, że widmy mléko krowom odbierają; a są i takie, co nóż w sochę zatkną, i zaraz z niej leje się mléko, i tym sposobem nabiał u krów ginie: Otoż czernobył bardzo broni przystępu widmóm, i gdzie tylko chata i szopa jest nim otoczona, tam one nie mogą odbierać mléka. —Oj to dobrze być widmo! wyrzekł Wasylko: u nas krowa zdechła, i niéma nabiału, a jakby matka moja umiała doić sochę, toby i bez krowy obejszło się. —Nie spuszczaj się na to Wasylku, wyrzekł Tytor: mnie się zdaje, że to wszystko zabobony; lepiéj pohorować, aby za co było kupić znowu krowę, niż spuszczać się na widmę. —Zabobony! powtórzyła z przykrzywieniem głowy Martocha; a któż wam włos z palca wylał? płaksiwce dziécku waszemu spędzał? albo od robaków nieraz chudobę i konie wasze uzdrawiał przez zagięcie dziéwanny; to u was i to zabobony? —No, moja Martocho! nie gniéwajcie się: prawda, wy to wszystko dobrze umiecie, i dzięki wam i teraz, żeście mi nieraz pomagały; lecz i Grzeszczycha, matka Szymka, swémi szeptami i stawianiem garnuszka, takoż po wsi niejednego uleczyła; ale już temu, aby z sochy mléko szło, nie wierzę, nie; prawda Panie Audry-

ju! — Prawda! i ja nie wierzę; a możeby i Wasylko tak na tém wyszedł, jak owa dziéwka w wesołym kącie, co to przez czary chciała wyjść prędzéj za mąż. — Cóż to takiego? wrzasnął Szymek; o, co tego, to całe nie słyszałem! — a wszyscy zaczęli się śmiać do rozpuku. — Proszę was Panie Andryju, opowiedzieć; bo ja z paniczem niedawno powróciłem z *Winnicy*.

Nim zaczął Andryj, Tytor wziął się do czarki, a Demian podsunął mu butelkę z wisniakiem, i wylał się rubinowy napój, i obu gospodarzy ukrasił jagody, poprawiwszy płowe swe wąsy, napruszone siwizną, tak wreszcie, rzekł Andryj: — Było to w jesieni roku zeszłego na samego Andrzeja; kiedy to wy dziéwczęta pieczecie swoje bałabuszki. W wesołym kącie jest tkacz Gmytro Wozniuk, i ma córkę, już starą dziéwkę: około południa przyjechał do niego na białéj kobyle nasz Hrycko Daniluk, jak to wiecie, z osnową pietnaszczaną, aby ten mu ją wyrobił. Uwiązał kobyłę do wrót, a sam wszedł do chaty. Dziéwka, jak tylko spostrzegła kobyłę białą u wrót w dzień Andrzeja, zaraz sobie pomyślała, że to będzie jakieś nieszczęście, i pobiegła czém prędzéj po radę do kluni do Najmyta, który tam żyto młócił. Najmyt filut,

młody i pustak, potwierdza zastrachany, że to wróży wielkie nieszczęście: i znaczy, iż ona i tego roku nie pójdzie za mąż, i zapusty marnie zejdą. Zafrasowała się mocno Chima; — a parobek pocieszając, rzekł: — nie bój się, można temu jeszcze zaradzić!— oto potrzeba tej kobyle ogon jak najkróciej uciąć, i tą włosienią często ukurzać się, a wszelkie licho przepadnie.— Głupia Chima, łakoma zamężcia, zaraz znalazła nóż, a wyostrzywszy dobrze, poleciała do kobyły, i jak to mówił nasz nieboszczyk Iwan, nie pożałowała rąk, i dobrze ogon ucięła. Nasz Hrycko niemały czas siedział w chacie;— czasem wyglądał przez okno, lecz widząc kobyłę, ani pomyślał, że mu takiego figla splatano. Targował się długo z Gmytrem o robotę; potém napili się mohoryczu, przekąsili co Bóg dał, i dopiéro na wsiadanem spostrzegł zdziwiony, że kobyła ogon utraciła.—Nasz Hrycko, jako to wiecie, passjonat, i nie podaruje swego:— wrócił się do chaty, opowiedział szkodę, zwołał sąsiad, zaczął harmiderować; lecz nikt nie mógł odgadnąć, ktoby to zrobił, i na co?— bo soldatów nigdzie nie było. Wypytywał się Gmytro i jego żona swoich dzieci, pobiegli do najmyta; ale wszyscy przeklinali się na

czém świat stoi, że oni tego nie robili.— Zły Hrycko, widząc, iż sam nie w cudzej wsi nie zrobi, poleciał w czwał do domu; i chociaż nie jeden śmiał się z tego figla;— on, jak to mówią, nie uważał na to, a przeklinając całą drogę, wprost zajechał do dworu do naszego Possessora. We dworze takoż, choć się naśmieli wszyscy do woli, ale Pan Possessor zaraz napisał do tamtego Pana;— a ten zalecił srogo Ekonomowi, aby koniecznie wyszukał winnego, i aby szkoda została nagrodzoną. Wiecie, jak to Ekonom, gdy się chce Panu podobać, prawdy szuka. Wziął się dobrze do najmyta, ten się przyznał, iż to zrobiła Chima;—ta zaś przelękniona wyśpiewała wszystko.— Sąd gromadzki osądził za tę psotę złotych 20 położyć Gmytrowi, a z tych połowę najmytowi potrącić. Teraz Chima, gdzie się tylko pokaże, zaraz jéj przypominają ów ogon, biedna nie śmie podnieść oczu na świat Boży.—Znowu powstał śmiech pusty, a Tytor przerywając zawołał:—otoż widzicie chłopcy, do czego to zabobony przyprowadzają!— A po cóż Kupajla dziś święcimy?— odparła rozgniewana Martocha;—a to co innego, odpowie Tytor:—to tak nasi ojcowie i dziady robili, i to więcej zabawa:—wre-

szcie nie bardzo ja i z tego rad, lecz moja Fedora i drugie dziewczęta, uprosiły sobie to u nas; wiedzcie jednak, że nasz Dobrodziéj bardzo narzekał na to przede mną.— Dziękujemy wam Panie Tytor, ozwały się dziewczęta, a Fedora już była u rąk ojca, i czule całując zasępione czoło Tytora, jakby zza chmur wydobywającém się światłem księżyca, tak wesołością nanowo wszystkich ozłociła.

Jeszcze jakiś czas trwały wesołe żarty i rozhowory, w końcu Tytor zawołał:— no chłopcy, będzie tego, czas spać, bywajcie zdrowi i idźcie do domów, nam potrzeba rano wyjechać na jarmark.

Tak się zakończył ów obchód u wieśniaków Ukrainy;—powtórzyliśmy go, aby dać obraz ich życia i sposobu myślenia. Ale wy piękne usta i delikatne rączki! jeśli się kiedy tego opisu dotkniecie, darujcie! że kmiecie Ukraińscy z swemi grubémi potrawami i z prostaczą myślą zajmować was śmiały.— Są to dzieci nieskażonej natury, i tak charakterystyczne, jak te kwiaty stepowe, których żadna ręka nie przyswoiła do swych ogrodów, i pielęgnując nie zatarła pierwotnych rysów, wziętych z rąk powszechnéj matki. Nie marszcie się na to modne Panie

i modni Panicze! — gust wasz sentymentalny niech się hartuje na prostych opisach, a mniej znajdziemy ckliwości w wysłowieniu, i prędzej zasmakujemy w narodowej literaturze; — która, za zdaniem teraźniejszych uczonych, przed wszystkiém brać miejsce powinna.

S. W. Groza.

Sorok a.

Sroka.

Duma z podań ukraińskich (*).

»Czego twój bracie wrony się chwieje?
Czego twój bracie wrony topnieje?"
»Trzy dni, trzy nocy on mnie tu niesie.
Stałem na czatach przy czarnym lesie."
»Trzy dni, trzy nocy ku nam leciałeś,
Cóż tam po czarnym lesie widziałeś?"

(*) W pierwszej części Rusałki początek tej Dumy był drukowany.

»Widziałem wilki trzodą błądzące,
Widziałem kruki stadem lecące,
Widziałem stare we łzach rodzice,
Z rozsianym włosem kraśne dziewice,
Molodce konno mogił pilnują,
A dym kłębami po jarach bieży,
A jak noc Boża, łuny koczują,
Zda się na zgliszczu cały świat leży."
»Dość bracie Marku, więc płaskonosy
Znów przyszli nasze wydeptać kłosy,
Znów przyszli naszą krwawicę grabić
I dziatek nabrać i starców nabić.
O czarne djabły! pókiż będziecie
I żyć i broić na Bożym świecie?
Weź bracie Marku trąby złocone
I uderz w prawą i w lewą stronę,
I uderz w górę, ziemia, niebiosy
Niech Sahajdacznych dadzą jak rosy."—

We środku zamku, w białej świetlicy,
Jest cudotworny Boga-Rodzicy
Odwieczny obraz; po Ukrainie
Széroko swemi cudami słynie:
Pod tym obrazem co rok święcone
Wiszą na ścianie trąby złocone.
Idzie do białej Marko świetlicy,
I bije pokłon Boga-Rodzicy,

I z ściany trąby złocone bierze
I na zamkową wybiega wieżę.

I bierze Marko trąby złocone
I bije naprzód na prawą stronę.
Na prawej stronie stał las, po lesie
Trąby się rozgłos daleko niesie.
Zbudzone kruki kraczą w jaworach,
A psy zbudzone wyją w futorach,
Z lewad w Kurzenie rżąc konie bieżą,
Kipią bajraki, kipią czahary,
Konie i ludzie błądzą jak mary,
Lasem spis, lasy się jeżą.
Bierze Brat Marko trąby złocone,
Bije powtóre na lewą stronę,
Na lewej stronie step się rozlega,
Po stepie rozgłos trąby obiega,
Budzą się jary i budzą sioła,
Wyją psy, konie ze stepu bieżą,
Lasem spis, stepy się jeżą.
Bierze brat Marko trąby złocone
I bije w górę — ziemia, niebiosy
Niech Sahajdacznych dadzą jak rosy.

Zielona trawo na swej mogile
Długich, swobodnych kwitłaś lat tyle,

I twa wysoka tyle lat panna,
Przekołysała z wiatrem dziewanna.
I twa powiewna lekka siestrzyca,
W zimowe puchy strojna mietlica.
A dziś was zorzą, zniosą kopyta,
Zimna dłoń śmierci trupem zasieje,
A posiew rosą czérwoną zleje.
Kiedyż, ach kiedyż z tej rosy zmyta,
Znowu tu wiosna kwieciem strojony,
Włoży na barki żupan zielony?
Włoży i zdejmie, i znowu włoży,
Aż się od ojców odrodzą dzieci,
Aż orzeł sławy marnie odleci,
Śpiewak zadzwoni o starą sławę,
Tylko wiatrom na zabawę.

Już naniesione buchnęły stosy,
Płomień się schwycił, strzelił w Niebiosy,
A za nim dymu wysoka jodła
Powiewny, długi warkocz rozwiodła,
Jak rzucisz okiem z wszelkiej mogiły
Takież ku niebu jodły strzeliły,
I ze stu mogił sto słupów dymu
Stanie za przednie straże od Krymu.

Zebrał Han Giraj chylat skrzydlaty
Lud stotysięczny, i tak doń prawił:

»Ja będę środkiem w miecze się bawił,
Puszczę pożary na białe chaty,
Giaur się na strony rozleci ptakiem,
Ty prawa poło leć prawym szlakiem,
Ty lewa lewym.—Wiążcie tabory,
Aż spustoszeją wszystkie obory,
Aż na Kalnickich staniecie błoniach,
Wiodąc po dziesięć Giaurów przy koniach,
Ja na Kalnickiem zgliszczu zasiędę,
Spoczywać będę, dzielić was będę."

Hanie! gdzieś żona cię nie kochała,
Że w tym pochodzie nie zatrzymała.
Czy w waszej ziemi kukułek niema,
Ani z jasnemi wróżek oczyma.
Wróżkaby rzekła:—patrzaj na niebie
Nie dobra gwiazda świeci dla ciebie,
Kukułka jęki rozgłasza wdowie,
Po twoich braci i twojej głowie.
Siwe jastrzębie, orły się smucą
Po synach stepu, co nie powrócą.
Żonaby rzekła:—mój mężu Hanie!
Zły sen mi przyszedł w samo świtanie;
Puszczałam nasze wianki na wodę,
Puszczałam nasze włosy na wodę.
Pod wodę poszły wianki i włosy,
Jakieś niedobre grożą ci losy,

Mężu mój, Hanie! czy się chce tobie,
Abyśmy w jednym nie legli grobie;
Abym sierota w mojej starości
Pytała wiatrów o twoje kości?"

Nim słońce wstało, Kalnickim szlakiem
Ledwoś się spotkał z wiatrem a ptakiem,
Zaranną ciszę niebieski dzwonek
Tylko niekiedy budził skowronek,
Albo przepiórka wabiąca dzieci,
Lub bocian, który klekocąc leci.
Gdy słońce wstało; to już bez końca
Skowronek spadał, wzlatał do słońca,
Strumieniem czystej obmyta rosy
Trawa zielone suszyła kosy,
Lilija drżała; dziewiczy kwiecie!
Tyś czuł, że burza ciebie zamiecie.—
Czego te kawki, kruki się snują?
O! one trupi już zapach czują.
Żórawie sznurem ciągną po niebie,
Ciągnąc wołają:— nie drzemcie ptaki,
Nim wojna wszystkie przetnie wam szlaki,
Rzucajcie gniazda, ratujcie siebie.
Skowronek więcej nie spadł na niwę,
Przepiórka pierzcha, leci do góry,
Z rud uciekają czajki krzykliwe,
Z rud bocian wieje długiemi pióry.

Dzieci pokoju lećcie daleko.
W wasze siedziby stadem się wleką
Złodzieje kruki, orły dziobate
I rozjuszone wilki zębate.

Jedno sto kopyt tętni po stepie,
A drugie tyle w suchy szlak klepie,
Łamie się trawa, rośnie kurzawa:
Z złamanej trawy, wzrosłej kurzawy,
Coraz barania czapka wystawa,
I koń łabędzią podnosi szyję,
Aż nad kurzawę, trawę się wzbije,
I wpół zakryty, wpoł widny oku,
W zielonym, mglistym buja obłoku.
Czegoż tak pilno dokąd ugania
Jeździec za jeźdzcem; tam pod namiotem
Czystego nieba, na traw kobiercu
Zasiadła rada, serce przy sercu,
I grot kozaczy związuje z grotem,
Aż nawiązawszy i serc i grotów,
Na głowę Tatar nasypie grzmotów.

Tam radzi rada, tam radzi rada,
Kto atamański buńczuk owłada,
Kto będzie orłem i pod swe pierze
Lotną kozacką dziatwę zabierze?
Któż nad Sorokę, w zarannej porze
Wodził on czajki na sine morze,

Teraz utopił czajki do wody,
By z Tatarami chodzić w zawody,
Chodzić w zawody, i póki siły
Dobić się w czystém polu mogiły.

Hura i hura! brzmią w niebo głosy,
Cały dzień Boży do nocnej rosy,
Każdy prawie Soroki sciska,
I krzyż całuje, a szablą błyska.
Jak wieczor cisza; tylko w świetlicy,
Kędy Przeczystej obraz Dziewicy,
Sama dobrańsza idzie starszyna,
Pokorne czoło do ziemi zgina,
I cichą z sobą radę wytoczy,
Jak pohańcowi ma zajrzeć w oczy.

Różni prawili, Ataman prawi:—
»Dopóki buńczuk będzie w mej dłoni,
Dopóki szabla przy boku dzwoni,
Póty wróg stopy tu nie postawi;
Będziemyż czekać, będziemyż zwlekać,
Aż nas jak myszy w garnku podławi.
Ojcowie zbiegłszy jak ten świat biały,
Dla tegoż w domu złożyli głowy,
By je Tatarzyn wziął pod podkowy,
Aby je dzieci krwią obryzgały?
O, nie druhowie! na wilczym jarze
Jest, co główniejsze siadło Tatarze,

Bogaty Jasyr, krzywda krew nasza,
Nim ranne słońce mgły porozprasza,
I nim noc zejdzie, gwiazdy przeświecą,
Nasz Jasyr, a łby czarnym psom zlecą.
Tak, zgoda..... zgoda.—I przed Ikonem
Uderzą wszyscy nizkim pokłonem,
I dalej hura! .....
Ale w świetlicy
Któż taki do stóp Boga-Rodzicy,
Upada na twarz i tak wyrzeka:
„Znowu mój siwy sokół ucieka,
Znowu na wojnę: Niech Twa opieka
Przeczysta, skrzydłem swém go zasłoni,
Wszak nie za marną sławą on goni,
Matko! twe dzieci w ciężkiej potrzebie,
Dobył on szabli Matko za Ciebie,
Za Twego syna, krzep jego ramię,
Niech Bisurmanin go nie przełamie,
Krzep jego ducha, niech świat daleki
Pozna cud twojej świętej opieki!"—
Tak się modliła jak zorza jasna
Żona Soroki młoda a krasna.

Po błoniach Sobu toczą się wody (*)
I błonia w świeży kwiat ubierają,

(*) *Sob* rzeka w guber. Kijowskiej w powiecie Lipowieckim, płynąca blizko mogiły zwanej Soroka.

Nad Sobem czyjeż hasają trzody,
Nad Sobem czyjeż stada hasają?
Jako te trzody takich nie mają
Drudzy Królowie, a takie konie
Na wagę złota tu w naszej stronie
Nie kupisz nigdzie; te trzody, stada,
Ataman z ciężkim zebrał nakładem;
Lecz nie tak pyszny trzodą i stadem,
Ni złotem, które w swych skrzyniach składa,
Ani czterdziestu bitew wygraną,
Zkąd mu *Soroki* nadane miano—
Jako on pyszny z swej krasawicy,
Duszy swej duszy, młodej Praxedy.
Od kiedy ziemia i Ruś od kiedy,
Jeszcze nie było takiej dziewicy—
Jak delikatny kwiatek jabłoni,
Takim się wstydem jéj lice płoni.
Jako z dameszki wiernej szablicy,
Taki z jej ogień bije źrzenicy.—
Jej stopa lekka jak cień miesiąca,
Co idzie stepem, a traw nie trąca.
Krasne jej usta, co jak kwiat świecą,
Zkąd modły prosto do niebios lecą.
Kraśniejsze serce, które przed Bogiem
Prochem upada, ale przed wrogiem,
Przed Tatarzynem, gołąbek biały
Przerasta w męża, i sieje strzały

I siecze mieczem, i krwawém błoniem
Jak sam Ataman tak toczy koniem.

Błysnęły pierwsze na niebie gwiazdy,
Miesiąc zza lasu wychylił rogi,
Zagrała siostra trąbka do jazdy,
I każdy milcząc stanął do drogi.
Ataman, pierwszy żóraw, wódz stada,
Rusza po przedzie, to między jary,
To między lasy; czasem okłada
Wysokie garby, nizkie czahary—
Czasami cugle koniom przykróci,
Wytchnie, i znowu ptakiem się rzuci—
Przepłynął Rośkę, w której spokojny
Kąpał się księżyc daleki wojny;
Przepłynął Roskę, na której brzegu
Stanął wieczorny wiatr do noclegu.
Ale po olchach i po osoce
Wabiąc się ptastwo w skrzydła trzepioce,
I budzi wiater, aby nie drzémał,
A z echem wartę nad światem trzymał.

Jeszcze gon jeden, step jeden jeszcze,
A hoża sława w dłonie zakleszcze.
Jeszcze gon jeden — Wietrzyk zbudzony
Smutnie zadzwonił w północy strony,

Powiał po stepie, i tak się zdało,
Że sto okolnych mogił jęczało.—
Schylił się miesiąc, chmurą osłonił,
I cichą kroplę rosy uronił.
Może to z krain, kędy on świeci,
Tak ojców duchy płaczą swych dzieci.
Ach płaczą, płaczą, a nie odwrócą
Nieszczęść, co wiek nasz zarania krócą.—
I smutnie wiater na stepie śpiewał,
I smutne myśli w duszę nawiewał,
A choć mołodcy wyrośli w wojnie,
Jednak szli smutnie i bezspokojnie.

Inaczej było na wilczym jarze,
Syta rozbojem w śmiechu i gwarze,
Trzymając swoich brańców na smyczy,
Zasiadła tłuszcza tatarskiej dziczy,
Rozhowor wiodąc o swej zdobyczy,
Rozhowor wiodąc o swym powrócie,
O krasie branek, o czystém złocie.
. . . .

A jutrznia coraz, coraz świtała
Pode dnia drzwiami: księżyc zza góry,
To się wykradał, to kładł się w chmury,
I blade światło rzucał po jarze,
To na kurnose Tatarów twarze,

To na bolesne branek oblicze,
Gdzie kwitły wszystkie nieszczęść gorycze—
To na te kości, których tu tyle,
A co próchnieją w trawie i pyle.
Ostatni migał płomień ogniska,
Zaspana warta rzadziej wołała.
»Czegoż to ziemia tak zahuczała?—
Nie.... to zagrzmiało; zda się nie błyska,
Nie piorunowe naległy chmury,
Coraz to huczy.... pewnie z pastwiska
Biegną tabuny, a może który
Wilcy spłoszyli, że tak przeleci:
Jeszcze zbyt rano jutrznia się świeci,
Rosa upada: tabun spłoszony
Pewnie być musi, znać to po biegu
Krótkim, urwanym."—Tak przebudzony
Strażnik przebąknął i do noclegu
Znówu się zabrał, zasnął spokojny.
Jeden jarami szedł zastęp zbrojny,
A drugi prosto przez stepy gonił,
Trzeci się z lasów cienia odsłonił,
I z gromkim hura! ostrém żelazem
Na kosz tatarski napadli razem.
Napadli... rzekłbyś wilki na stado,
Grady na niwę... głowy się kładą
Lecą turbany, walą tułowy—
Po jarze idzie huk piorunowy,

To tak miecz kuje w kowadło śmierci—
I kuł godzinę, czwierć i półczwierci,
Aż wszystkich Krymców śmierć ogarnęła,
Aż każda głowa w trawie zasnęła.

Dzień się przebudził: i wstał wesoło,
Jakby nie bryzła krew mu na czoło,
Dzień się przebudził i wstał spokojny,
Jakby nie słyszał rozboju, wojny.
Witał wesoło dzień przebudzony,
Braniec z tatarskich łyk uwolniony,
Witał i Kozak wygraną pijany,
Co zbierał szable, zdzierał turbany.
Lecz najserdeczniej witał płacz dziatek,
Skaczących z wozów do swoich matek,
I krzyk radośny dziewcząt niewinnych,
Co się do płaczów łączył dziecinnych.—
Rozbito wozy, stada zegnano,
Na cztery wiatry wieści wysłano,
Aby lud wierny zewsząd się zbierał,
I swoje mienie, dzieci zabierał.
Z dobremi wieśćmi wiatry leciały,
Z cztérech stron wierny lud zwoływały.

A czy to wiater z poselstwa wraca,
Że się kurzawa kłębem przewraca,

Czy czart za duszą tatarską bieży,
Co się dziedzictwem jemu należy.
Patrzy Ataman, oczom nie wierzy,
Nie wierzy biciu serca własnego.
To od Praxedy tak goniec leci
Po chrobrą drużbę, po orle dzieci,
By szli wojować djabła czarnego,
Który tu zbity, lecz straszny, zbrojny
Stanął pod wałem miasta, do wojny—
Świsnął Soroka na konia swego,
Porwał za szablę, wskoczył na niego,
Wybiegł na górę, w trąbkę zadzwonił,
I z mołodcami nazad pogonił,
A wolnych brańców serca i dłonie,
Błogosławiły męże i konie,
A wiatr ojczysty swych skrzydeł dwoje
Oddał ochoczo pod chrobre woje.

⁂

II.

Gdzież się te białe podziały sioła,
Gdzie tamta młodzież hardego czoła,
Nie dostać było niwie przed gradem,
Ni im przed hordy dostać napadem.
O złota niwo, na cóż cię zżyna
Kto cię nie zasiał?..... Trwoga rozpina
Jastrzębie skrzydła, i wrzeszczy:—biada!—
I z sioła w sioło, z grodu w grod wpada.

I do Kalnika wleciała trwoga,
Widząc za sobą nawałę wroga,
Wiodąc nawałę przez stepy, lasy,
Jako szarańczy w żniwowe czasy.—
Któż zagrzmi w trąby, uderzy w dzwony,
I od tej plagi ocali plony?
Bóg chyba tylko...... a tu dokoła
Tatarzyn w zamek tłucze i woła:—
»Otwórzcie zamek wy psy zhardziałe,
Jeżeli chcecie unieść łby całe,
Otwórzcie zamek bo za godzinę
Precz wasze gniazdo puszczę w perzynę!

O nie tak skoro brodaty Hanie,
Bo jest ktoś z nimi, co za nieb stanie,
Co waści strzały rzuci na ciebie,
Matka Dziewica, Królowa w Niebie.—
I wypuszczone tatarskie strzały
Prosto swym strzelcom w serce strzelały,
I podniesione tatarskie miecze
Czarna tatarska jucha ociecze.

I jęknie Tatar, i wzad odskoczy,
A niebo jasne, gwiezdziste oczy
Do snu przymruża.—Krótko zbudzone
Znów spoczną stepy, lasy zielone,
Czarną opończą nocy okryte
Zasną głębokim snem jak zabite,
Po nocnym chłodem studząc swe rany,
Zaśnie i Tatar ciężko zziajany.
Ale nie zasną Kalnickie dzieci,
Bo je trzeźwiąca trwoga obleci.
Błądzą po wałach okuci stalą
I jasne, rzęsne ogniska palą.
I pieśnią Boga-Rodzicę chwalą:
Nabożną pieśnią, co jak świat stara,
Którą złożyła miłość i wiara.

Tuman swe ciemne, wilgotne skrzydło
Wznosi do góry, schyla ku ziemi,

Aż złoto-lite nieb malowidło
Ciemny, ciemniejszy obłok zaciemi:
Aż cała ziemia jak kadzielnica
W dymach się skryje.—Błysnął księżyca
Jeden róg złoty, i zagrzązł w chmurze,
Błędny ślepowron zadzwonił w górze,
I cisza; tylko ze rżeniem koni,
Coraz to słyszysz głuchy chrzęst broni.....
To tak znudziwszy swój wiek spokojny,
Budzą się ojców duchy do wojny;
I przebudzone po stepach gonią,
I w stare zbroje, w kopyta dzwonią,
I dzwonią strasznie jak na sąd Boży.
Ockniony Tatar w sobie się strwoży,
Nie wierzy sobie, oczóm nie wierzy,
A wojsko dziwnych, strasznych rycerzy
Pędzi mu w oczy, pędzi i znika,
Zawyje z wiatrem muzyka dzika,
Muzyka wilków u kościeliska,
Gdy im głód kości wpycha do pyska.

Dzień przebudzony wstał jak z bezsenia,
Mgła ciemna oczy jemu zacienia,
Zacienia czoło — otworzył oczy
I patrzał smutnie aż się wytoczy
Łza, co wisiała tam pod powieką;
Jej czyste rosy gdy na dół ścieką,

I gdy obmyją świeże dnia lice,
Pięknie zaświecą dwie krasawice,
Hożc i młode, ziemia, niebiosy.
Wczoraj je miłe witały głosy
Powietrznych gości stepów i lasów,
Dziś muszą słuchać jęków, hałasów
Bezbożnej wojny—wczoraj spokojnie
Dudka tu grała nie śniąc o wojnie,
A teraz, teraz! Jeszcze dziś zrana
Zakryło słońce skrzydło tumana,
Tuman się rozlał rosy kroplami;
Lecz tuman wzbity ich kopytami,
Gdy na dół zleci, to ziemia cała
W czerwonej rosie będzie pływała;

Na białym koniu, miasto szablicy—
Trzymając obraz Boga-Rodzicy,
Praxeda miejskie objeżdża wały,
Na których mężne wojaki stały—
Dziécię, kobieta, starzec zsiwiały,—
U ich stóp smoła, olej się pali,
U ich stóp leżą kłody, kamienie,
A w rękach ostrze połyska stali,
A w duszy gore jedno pragnienie
Zemsty i zemsty.... Allahu, burą!
I pociągnęła tatarska chmura

Straszną obławą prosto na wały,
Buchnęły ognie, kłody zagrzmiały
Jak śniegi z dachów na dół zleciały
Czarne robaki, co tam pełzały:
Zbite, spalone, uwięzły w rowach,
A drugie po ich darły się głowach
Wyżej i wyżej.... drugie i trzecie,
Jak z wymiatanej izby to śmiecie
Precz poleciały.... darły się znowu
I znowu na łeb spadły do rowu—
Jeszcze raz poszły, jeszcze raz spadły.
Czy wróg na siłach ustał zajadły,
Że nie na wały, lecz goni w pole,
Ale się wszystek zebrał w półkole—
Zawył, wzniósł szable i djabłem skoczył.
»O! to zapewne już naszych zoczył,
To i nam dłużej nie siedzieć w jamie,
Z szablą i nożem dalej ku bramie!"
Woła Praxeda,—i już po przedzie
Na swoim białym koniku jedzie,
W jej ręku zamiast noża, szablicy,
Swieci Przeczystej obraz Dziewicy,
A nad nią z cerkwi powynoszone,
Wieją chorągwie żółte, czerwone,
Przed nią Pop idzie, nabożnie śpiewa,
Brat Marko w trąby złote przygrywa;
Za nią oręźny brzmiący rój leci,
Z wojaków, starców, kobiet i dzieci.

Straszny rój, biada kto go zakłóci,
Bo go żelaznem żądłem obrzuci.

To już nie cerkiew świętą budują,
Ani las rąbią, w kowadła kują,
Że łoskot taki, że gomon taki;
To tak z Tatary nasze Kozaki
Poszli na piki, poszli na szable.
Tu hura, a tu Allahu djable,
Wciąż i wciąż wrzeszczy, wciąż i wciaż wyje,
Słupem kurzawa w niebo się wzbije,
Tych i tych czarną burką nakryje,
Nakryje czarną burką, by w cieniu
Wolniej krwawemu płynąć strumieniu,
By oko Boże — słonko na niebie,
Już nie tak, wojno, klęła na ciebie.
Dwie życia rzeki z sobą się zwarły,
Aby wzajemnie siebie pożarły,
Dwie śmierci poszły na siebie w miecze —
Cała się powódź tatarska sciecze
W jedno koryto, i młodź kozacza
W jedną się groblę, w mur przeistacza.
Ni dostać grobli, ni zmódz powodzi;
Ale Praxeda z swém wojskiem wchodzi.
Gdzie tam, z cudownym wchodzi obrazem,
I moc tatarska upadnie razem.
Jedni z nich zaraz wlecą do Sobu,
O! nie do Sobu, ale do grobu.

Drudzy się puszczą w nogi po lesie,
W ich ślady zemsta, nóż, topór niesie;
A trzeci na te wybiegną pola,
Dalej im z miejsca ruszyć niewola,
Na wieczne czasy legli jak stali.

Praxeda zbrojna świętym obrazem,
Niwą zasianą trupem, żelazem,
Stąpa powoli, i tak się żali:—
»Ach! gdzież mój sokół, czemuż go niema?
Mili druhowie, mówcie oczyma,
Gdy nie możecie mówić ustami.
Czemuż go niema pomiędzy wami,
Czyście wy jego tam zagubili,
Czy on tu przepadł, druhowie mili,
Powiedzcie, proszę, gdzie on? gdzie drogi?—
. . . .
Na tłumie trupów w kupę zwalonych,
Na tłumie trupów zbitych, zsieczonych,
Leży oparty martwy Soroka,
Pierś jego—jedna rana głęboka,
Skroń jego—jeden potok czerwony,
Przy jego nogach stoi koń wrony,
I jakby nierad z pańskiego spania,
Kopytem grzebie, tręzlą podzwania,
Darmo koń grzebie, płaczą druhowie,
Już się nie podnieść więcej tej głowie,

Już się nie podnieść więcej tej dłoni,
Ani do czarki, ani do broni.

O! ciężko strasznie w tym boju było,
Ale tak bić się, tak ginąć miło,
Jako przystało na Atamana,
Pod nogi sobie posłał trup Hana.
Zginął Tatarzyn, Ataman zginął,
Luby zgon taki, bo będzie słynął,
Póki te lasy, mogiły, rzeki,
Bóg wić przez jakie dalekie wieki.
Lecz nie zapomni wiek Ukraina,
Że utraciła takiego syna,
Przebił jej serce miecz poganina.
Któż zgoi sercu zadaną ranę,
Kiedyż te przejdą dni opłakane?

A jeśli przejdą, to nie dla ciebie,
Ty już na swego szczęścia pogrzebie
Jesteś Praxedo!—Nic tu już tobie,
Tylko się żywcem zakopać w grobie!
Zgasło twe słońce, cóż ci bez słońca?
Noc twa nastała, kiedyż jej końca
Doczekać przyjdzie, kiedyż, ach! kiedy?
Biała gołąbka szczęścia Praxedy
Już uleciała; szczęścia kwiat biały
Zmięły, zwarzyły wczesne upały.

A onaż była nabożna taka,
Jej strzecha była strzechą żebraka,
Jej strzecha była strzechą chorego.
Najpierwsza sługa ludu Bożego,
Zabywszy o swém zdrowiu, o sobie,
Służyła jemu w złej, w dobrej dobie,
I dzisiaj tylko za jéj modłami
Bóg to zwycięztwo dał z Tatarami,
Smutne zwycięztwo! drogo kupione,
Do liców męża usta spalone
Tuląc Praxeda, tak głosi biedna:—
»To już ja zostać mam sama jedna,
Bez ciebie, moje słonko, na świecie,
Sierota w mojej wiosny rozkwiecie,
Któż mnie nauczać, któż radzić będzie,
Któż ze mną razem za stołem siędzie?
Dom twój bez ciebie marnie upadnie,
Twe stado piérwszy złodziéj rozkradnie,
Coś ty nazbiérał jeżdżąc przez morze,
Coś ty naskładał w twojej komorze,
Wszystko przepadnie, wszystko to zginie!
Lecz niechaj ginie, niechaj przepada,
Co mi bez ciebie cały świat nada,
Na co mi teraz choćby świat cały,
Gdy już nie będą na mnie patrzały
Twe jasne oczy?—Gdy twoje lica
Taka zmroziła straszna zimnica,

Gdy mnie w objęciach swych nie uściśniesz,
Na ustach moich już nie zawiśniesz?
Na cóż ci tylko wojna się śniła,
W dzień i w noc tylko na myślach sława,
Toć milsza tobie ode mnie była
Zielona w czystém polu mogiła,
Zielona w czystém polu murawa!"

Nie sama tylko Praxeda płacze,
Płaczą i inne żony kozacze,
Płaczą i inne matki kozacze.
Dwieście molodców padło na polu!
Ileż serc jęczy z żalu i bolu?
Lecz jakiezby się jęki rozległy,
Gdyby się wszystkie Tatarki zbiegły,
Opłakać swoich, a których tyle
Leży w wojennym znoju i pyle!
Za wierne żony, matki i dzieci,
Jeden chorowód kruków przyleci,
A drugi orłów, a wilków trzeci.
I wszystkie razem wyjdą na pole,
Zabiesiadują przy krwawym stole!
Niech biesiadują, niech marnie ginie,
Kto chciał na drugich zasiąść ruinie,
Kto niósł na drugich i miecz i łyka,
Temu niech zagra taka muzyka;
Temu za pieśni, temu za płacze,
Niechaj wilk wyje, niechaj kruk kracze!

* * *

III.

O pieśni moja! czy cię ubierze
Sława w sokole bezśmiertne pierze,
Czy ty upadniesz mchem na mogile
I zaśniesz ze mną w trawie i pyle.
Upadnij, zaśnij na wieczne czasy,
Tylko dziś moje serce pocieszaj,
W piołuny kroplę miodu przymięszaj,
A potém........ potém...

Czy to tak lasy,
Czy to tak ptaki szumią i huczą?
Gdyby to lasy, ciąglebszumiały,
Gdyby to ptaki, jużby przestały,
Ani to lasy, ani to ptaki,
To ludu w pole wyszedł rój taki,
I znosząc darnie do jednej kuczy,
Tak sobie szumi, tak sobie huczy.—
Wielki rój w pracy, ani przysiędzie,
Bo też mogiła nad inne będzie.

A starce chodzą z chlebem i flaszą,
Gorliwych chwalą, leniwych straszą,
Nie skąpią czarki, nie skąpią słowa,
I wyżej, wyżej rośnie budowa,
I rośnie jeden dzień bez ustanku,
I rośnie drugi — w trzecim poranku
Mogiła wyżej głowę podniesie,
Niż cerkiew w mieście, niżli dąb w lesie.

»Dość," rzekną starce.— Pop z krzyżem w dłoni,
I z szatą, co go do stóp osłoni
Srebrem i złotem, stał nad mogiłą
I z diaki swemi pobożnie śpiewał,
Święconą wodą kropił, polewał;
Skończył.... sto płaczek z miejsc swych ruszyło,
I zajęczało w bolesne głosy,
Wielką pieśń żalu popod niebiosy.
A za płaczkami każda rodzina
Niosła swojego męża lub syna,
I mary jego ubrała w kwiaty,
A zwłoki jego w przybór bogaty,
I niosła jasną wierną broń jego,
I wiodła konia i psa wiernego.
A pod mogiłą chorowód stawał,
Wojennym druhom druha oddawał,
Druhowie druha do siebie brali,

I na mogile w grobie składali,
I pogrzchalną tak pieśń śpiewali :—

»Składamy cię bracie w grobie,
Niech ziemia nie cięży tobie,
Ale lekka jak to liście,
Podnosi się na twe przyjście.

Przychodź do nas, przychodź bracie,
Wierna żona czeka na cię,
Czeka siostra, czeka matka
I brat czeka i czeladka.

Koń twój będzie dopatrzony,
Ptak karmiony, chart karmiony,
Po miesiącu, jeśli wola,
Pohulasz sobie przez pola.

Po dniu białym jaskuleczką,
Po dniu białym kukułeczką,
Wieść weselszą między nami
Wyszczebiocesz pod oknami.

Jako jare słonko w wiośnie,
Powitamy cię radośnie,
Przypomnimy stare boje,
Przypomnimy imię twoje.

Wiater z lasu liście zmiata,
I nas zmiecie śmierć ze świata,
Oby, bracie, z nas każdemu
Przyszło ginąć po twojemu!

Leci orzeł pod niebiosa,
A na darni błyszczy rosa,
To modlitwa Boże Tobie!
To łza żalu bratu w grobie!

Gdy tak druhowie druhom śpiewają
I na mogile w grobie składają,
Zwolna chorowód ciągnie ostatni.
O! to chorowód nad chorowody;
Sorokę wszystek wierny lud bratni
Do jego cichej wiedzie gospody.
Brat Marko idzie po samym przedzie,
Gra w złote trąby, chorowód wiedzie,
A za nim płaczek dobrane głosy,
Pieśń żalu głoszą popod niebiosy,
A dalej jakby straża dla marów,
Idzie w kajdanach dwiesie Tatarów,
Dalej wóz pełny zdobytej broni
Ciągną mołodcy na miejscu koni;
A na tym wozie w zbrojnej odzieży,
Jak gdyby śpiący Atamau leży,
W głowach Praxeda na poły żywa
Siedzi, w gorących łzach się rozpływa;
U nóg dwa piękne charty skowyczą
I dwa sokoły żałobnie krzyczą.
Za wozem idzie wierny koń wrony,
I rży i wietrzy na wszystkie strony;

Dalej się ciągnie chmurze podobny
Naród wszelaki, dorodny, drobny.

Chorowód stanął popod mogiłą,
Dwieście mołodców raźno skoczyło,
Dwieście Tatarów głowy pozbyło,
Padły bełkocąc tatarskie głowy,
Krwią zachlupały czarne tułowy,
Krwią zachlupały, krwią zadymiły,
Długim się mostem precz pościeliły,
I po tym moście, przy trąb rozgłosach,
I po tym moście, przy ludu glosach,
I po tym moście, przy pieśniach, jęku,
Druhowie druha nieśli na ręku
Na wierzch mogiły, i w grób złożyli
I łzą poleli, darnią zakryli.

Nie ziele ruta, ani murawa,
Rośnij posiana kozacka sława:
I rośnij, rośnij w niebo wysoko,
Na całą ziemię rośnij szeroko,
Wiecznie zielona, i wiecznie młoda,
Brat orzeł orłóm o tobie poda,
Żóraw żórawióm o tobie powie,
Bracia żórawie, orły druhowie,
Rozniosą ciebie po całym świecie.
Kiedyś się zbudzi kozackie dziecię,

I co zabyli orły, żórawie,
O twojej starej rozgłosić sławie.

Jak gołąb siwy, śpiewak wiekowy,
Z swą lirą w ręku siadł na mogile,
Patrzał przez chwilę, dumał przez chwilę,
I zagrał temi rymując słowy:—

»Odarta z liści, odarta z kory,
Ta sucha wierzba, do jakiej pory
Stać jeszcze będzie; trzebaż jej na to,
By szaszel toczył w zimę i lato,
By wiatr nią skrzypiąc przechodnie trwożył,
A dąb roskoszny, dąb urodziwy,
Co przeciw wichrom zasłaniał niwy,
Aby swą marnie głowę położył?
Trzebaż ci synu już spać w tym grobie,
Mnie żyć na świecie, śpiewać o tobie?

Kiedy twój ojciec ginął na polu,
Nie tyle rany niosły mu bolu,
Ile te myśli bolały w głowie,
Czy syn ojcowskiej sławie odpowie?
Wysoka była ojca mogiła,
Synowska cieniem swym ją nakryła.—
Siwa kukułko raju świętego,
Pokojna Marto biesiaduj z nami,
Pociesz twe serce temi pieśniami,

Potem do raju zabierz je z sobą,
I pociesz niemi syna twojego,
Pociesz go, pociesz naszą żałobą,
Naszą boleścią.—A czarna dola
Niech nasze orze, zasiewa pola.

Ej Rusi, Rusi, gdzie twe śpiewaki,
Padł w boju wielki Ataman taki,
A niemasz pieśni zaśpiewać komu...
Młodości moja czemuś nie w domu,
Młodości jak ja ciebie dogonię,
Jak pieśń zaśpiewam, w lirę zadzwonię?

Zaśpiewam..... o nie moi druhowie,
Głos serca w wolnej przyjmijcie mowie,
A jeśli jesteś śpiewaku duszy
Tu między nami, weź miejsce moje,
Rozwesel nasze serce i uszy,
Śpiewaj Soroki życie i boje.
Śpiewaj..... daremnie błądzę oczyma,
Przeszedł wiek pieśni..... piewców już niema!

1.

Pracuję synu w piątek, w niedzielę,
Z tobą się kęsem ostatnim dzielę,
Dzielę się z tobą ostatnią szmatą,
Synu mój, synu! co mi dasz za to?

Milczy Archory, lecz zpod powieki
Dwie łez gorące trysną mu rzeki.
Matka się łzami syna rozczuli,
Do swego serca z płaczem przytuli.

I wzrastał pięknie Archory młody
W owoc rozumu i w kwiat urody:
I wyrósł taki hoży, dostojny.—
Szła wszystka nasza młodzież do wojny,
Archory nie szedł; bo on swą matkę
Chciał wprzódy w własną wprowadzić chatkę,
I dniem i nocą ciężko horował,
Aż białą, czystą chatkę zbudował;
Sprowadził matkę, sam poszedł w pole,
I krajał pługiem na żyto rolę.—
Ciężko mu, nudno za pługiem było,
Lecz kochał matkę, a choć niemiło,
Jednak pracował cicho, skwapliwie:
Ale go matka zeszła na niwie,
Jak gadał z sobą;—zajrzała w oczy,
I łzę odgadła, co się z nich toczy,
I rzekła:—»Synu, pług nie dla ciebie,
Do pługa znajdę sługę dla siebie,
A ty w mołodców hożym doborze
Pojedź, pohulaj przez sine morze.
Tam Bizantynę znajdziesz gród sławny,
A w Bizantynie jest obraz dawny

Boga-Rodzicy; w carskiej komorze,
Ten święty obraz w pysznym przyborze
Sam jeden wisi: zostaw przybory,
Mnie obraz dostań z carskiej komory,
Za to, żem nocy mych nie dospała,
Żem głód cierpiała, żem chłód cierpiała,
Żem cię takiego wyhodowała,
Pamiętaj synu, bym obraz miała."

Archory matki całował nogi,
Hożych mołodców wybrał do drogi,
Wybrał mołodców, i w tym wyborze,
Jako jaskółka leciał przez morze—
Leciał przez morze do Bizantyny,
A wał się za nim zapieniał siny,
Wał się zapieniał dzień jeden, drugi,
A na dniu trzecim car swoje sługi
Słał do mołodców, prosząc ich o to,
By sobie wszystkie zabrali złoto,
A nie palili Bizanty grodu,
A nie gubili jego narodu.

»Nie chcemy złota, rzecze Archory,
Lecz dajcie obraz z carskiej komory,
Co to sam wisi w drogim przyborze,
Przybor zostanie przy was w komorze,
Obraz weźmiemy; a bez obrazu
Niemasz pokoju ogniom, żelazu."

Car nie chciał zgody, szczęścia probował,
I z mołodcami na śmierć bojował.
I rok bojował jeden i drugi,
Na trzecim roku słał swoje sługi
Do Archorego, by wziął koronę,
A najkraśniejszą z córek za żonę,
Tylko świętego nie brał obrazu;—
Ale Archory odrzucił zgodę,
I poniósł wojnę przez ziemię, wodę.
I rozbił ściany na carskim dworze,
I zabrał święty obraz w komorze.

I przywiózł obraz Archory matce,
I znowu cicho zasiadł w swej chatce,
I znowu z pługiem wyszedł na pole,
I po dawnemu orał swą rolę.—
Ale mu nudno za pługiem było;
Lecz kochał matkę, a choć niemiło,
Jednak pracował cicho, skwapliwie.—
Ale go matka zeszła na niwie,
Jak gadał z sobą, zajrzała w oczy,
I łzę odgadła, co się z nich toczy,
I rzekła:—»Synu, pług nie dla ciebie,
Do pługa znajdę sługę dla siebie;
Ty znowu pojedź za sine morze,
Jest tam Pop święty na carskim dworze,
Car go jak ojca czci rodzonego,
Cały się naród modli do niego,

A on nad księgą siedzi rozparty,
I milcząc święte przewraca karty,
Wie on to wszystko, co w ziemi, w niebie.
Sprowadźmy tego Popa dla siebie,
Niech nas nauczy jak służbę prawić,
Jak żyć na świecie, a duszę zbawić."

Archory matki całował nogi,
Hożych molodców wybrał do drogi,
Wybrał mołodców, i w tym wyborze,
Jako jaskółka leciał przez morze—
Leciał przez morze do Bizantyny,
A wał się za nim zapieniał siny,
Wał się zapieniał dzień jeden, drugi,
A na dniu trzecim car swoje sługi
Słał do molodców, prosząc ich o to,
By sobie wszystkie zabrali złoto,
A nie palili Bizanty grodu,
A nie gubili jego narodu.
Nie będziem palić Bizanty grodu,
Ani waszego gubić narodu,
Zaraz pojedziem nazad przez morze;
Lecz jest Pop święty na carskim dworze,
Car go jak ojca czci rodzonego,
Cały się naród modli do niego,
A on nad księgą siedzi oparty,
I milcząc święte przewraca karty.

Wie on to wszystko, co w ziemi, w niebie,
Musim mieć tego Popa dla siebie,
Niech on nas uczy jak służbę prawić,
Jak żyć na świecie, a duszę zbawić."—
Car nie chciał zgody, szczęścia probował,
I z mołodcami na śmierć bojował.
I rok bojował jeden i drugi,
Na trzecim roku słał swoje sługi
Do Archorego, by wziął koronę,
A najkraśniejszą z córek za żonę,
A nie brał tylko świętego Popa.—
Ałe Archory odrzucił zgodę,
I poniósł wojnę przez ziemię, wodę,
W powietrze carski dworzec wysadził,
Na swoją czajkę Popa sprowadził.

I przywiózł Popa Archory matce,
I znowu cicho zasiadł w swej chatce,
I znowu z pługiem wyszedł na pole
I po dawnemu orał swą rolę.
Ale mu nudno za pługiem było,
Lecz kochał matkę, a choć niemiło,
Jednak pracował cicho, skwapliwie.—
Ale go matka zeszła na niwie,
Jak gadał z sobą, zajrzała w oczy,
I łzę odgadła, co się z nich toczy,
I rzekła:—»Synu, pług nie dla ciebie,
Do pługa znajdę sługę dla siebie,

Ty znowu pojedź na sine morze,
Jest tam budownik na carskim dworze,
Człowiek w anielskiem dziele uczony,
Budować cerkwie, wylewać dzwony,
Pisać obrazy.—Na naszej Rusi
Już też koniecznie cerkiew być musi,
Każdej się chacie obrazy spiszą,
Ludzie przed śmiercią dzwonów posłyszą."

Archory matki całował nogi,
Hożych molodców wybrał do drogi,
Wybrał molodców, i w tym wyborze,
Jako jaskółka leciał przez morze;
Leciał przez morze do Bizantyny,
A wał się za nim zapieniał siny—
Wał się zapieniał dzień jeden, drugi,
A na dniu trzecim już car swe sługi
Słał do molodców, prosząc ich o to,
By sobie wszystkie zabrali złoto,
A nie palili Bizanty grodu,
A nie gubili jego narodu.—
»Nie będziem palić Bizanty grodu,
Ani waszego gubić narodu,
I zaraz pojedziem sobie przez morze,
Lecz jest budownik na carskim dworze,
Człowiek w anielskiem dziele uczony,
Budować Cerkwie, wylewać dzwony,

Pisać obrazy..... na naszej Rusi
Już też koniecznie cerkiew być musi,
Każdej się chacie obrazy spiszą,
Ludzie przed śmiercią dzwonów posłyszą."—
Car nie chciał zgody, szczęścia probował,
I z mołodcami na śmierć bojował,
I rok bojował jeden i drugi,
Na trzecim roku słał swoje sługi
Do Archorego, by wziął koronę,
A najkraśniejszą z córek za żonę,
A nie chciał tylko brać budownika.—
Ale Archory odrzucił zgodę,
I poniósł wojnę przez ziemię, wodę,
Aż carski dworzec z ziemią zagładził,
I budownika matce sprowadził.

Już więcej pługa w pole nie żenie,
Ale na Cerkiew zwozi kamienie,
I od rozświtu do nocnej pory,
Dzień w dzień wesoły w pracy Archory.—
I mury cerkwi z każdym dniem rosły,
I trzy się złote kopuły wzniosły,
Z trzech kopuł złote trzy krzyże wstały,
Z dzwonicy trzy się dzwony ozwały,
I głos ich święty po Ukrainie
Długo, daleko, wesoło płynie.—
Naród zdziwiony, co to jest? pyta,
I łzami święte dzwony powita;

I łzami święte powita dzwony,
I nizkie czołem bije pokłony.
Cóż gdy wystąpi Pop nauczony,
W ryzach wystąpi, światła zapali,
Nabożną pieśnią Boga pochwali.—

2.

Płynie po ługu woda i niesie
Zielone liście, narwane w lesie;
Liściom do drzewa więcej nie wrócić,
Na wieki wodzie swój brzeg porzucić—
Na wieki Marcie rozstać się z nami,
Syn oblewając jej nogi łzami,
Prawi:—»Czém matko ciebie nadzielić,
Czémby dziś serce twe rozweselić?
Dostanę tobie paproci kwiatu,
Żywiącej wody z drugiego światu."—
A matka:—»Synu! nic mi nie trzeba,
Tylko się duszą dostać do nieba.
Podaj mi do rąk Boga-Bodzicę,
Podaj mi do rąk świętą gromnicę,
Dzwon niechaj moje pocieszy uszy,
Pop dopomoże z ciała wyjść duszy,
Pod Cerkwi progiem dół wykopajcie,
I mnie grzesznicę tam pochowajcie,
Niech depce po mnie wszelki człek żywy,
A tylko będzie Bóg miłościwy!

Za to, żeś synu tak mnie miłował,
Za to, żeś synu tak mnie szanował,
Twe imie będzie po świecie słynąć,
Póki stać lasóm, Sobowi płynąć.
Jeszcze raz jeden z hożym doborem
Staniesz mój synu przed carskim dworem,
I mir uderzysz na wieków wieki,
Niech jak brat żyją Rusini, Greki!
Car niechaj tobie wyswata żonę,
Tylko nie córkę swoją pieszczonę.
Jest tam u niego cicha sierota,
Co milcząc jego pilnuje wrota,
U niej nie znajdziesz srebra i złota,
Ale jest serce, rozum i cnota—
Jej całym rodem brat Marko śmiały,
Co ma trzy złote trąby, trzy strzały:
Trąby każdego zbudzą do broni,
A każda strzała wroga dogoni.
Uproście Marka niech jedzie z wami,
Wory napełni czarnemi perłami,
W pierwszych dniach lata je rozsiejecie,
Chleb mieć będziecie, miód mieć będziecie,
A dla pamięci Greczką nazwiecie."—
Jak matka chciała tak ją pochował,
I znów Archory morzem żeglował,
Praxedę sobie przywiózł za żonę,
I brata Marka, a z nim złocone

Trzy trąby, i trzy zabójcze strzały.
Z posianych pereł błysnął kwiat biały,
A na nim roje pszczół zabrzęczały—
Kwiat biały w czarne perły się zleje,
A na nich głodu ząb przytępieje.

3.

Raz się zapyta Dunaju morze:—
»Kto taki ziemię u was tam orze,
I kto ją radli, i czém ją sieje,
I co na waszym brzegu się dzieje?"—
»U nas Archory jest z mołodcami,
Co orze ziemię nam kopytami,
A pooraną zradła szablami,
Zradłoną sieje precz Tatarami.
Swój pług czérwony on jeden wiedzie,
Jego brat Marko idzie po przedzie,
W złocone trąby gra na świat cały,
I trzy zabójcze wyrzuca strzały,
Które na naszych brzegach porosły,
Już te się hordy dawno wyniosły,
Bo dla wiecznego boju, rozboju,
Nie było tutaj dla nich pokoju.—
Już i te stada, już i te trzody,
Które od wieków piły te wody,
Dziś piją z Sobu, i z Boku piją,
I pod drugiemi panami żyją.

A tylko wilki powytuczane,
A tylko orły powykarmiane,
Jak do obiadu, tak do noclegu,
Wrzeszcząc siadają na naszym brzegu.”

4.

Raz się zapyta ziemia u chmury:—
Jeśli wiesz, proszę, powiedz ptak który
Co najsilniejszy, co najmężniejszy?”—
A ziemia na to:—»zagadka próżna,
Bo kogoż z orłem porównać można?
Szli jednym szlakiem nasze kozaki,
Czarne Tatary szli w cztery szlaki;
Kopyty wszelki step zaorali,
Wszelką z rzek wodę powypijali,
W pustynię wszelki las obrócili,
Ludzkiemi kośćmi świat zawalili—
Przeciw Tatarom Archory jedzie,
I krwawych bitew czterdzieści zwiedzie,
Z bitwy czterdziestej, ostatniej, końcem
Ostatni Tatar rozstał się z słońcem;
A nasz Ataman za tą wygraną,
Przybrał dla siebie *Soroki* miano.
A cóż, nie prawda, mój ptak nad ptaki,
Jestże na świecie gdzie drugi taki.

5.

Zielona w czystém polu mogiła,
Do swego brata wiatru mówiła:—
„Ty się dziwujesz, zkąd i dla czego
Tak wielka mądrość u Archorego—
Jak nie być mądrym, gdy go jak dziecię
Uczyło wszystko, co jest na świecie.—
Wilk go nauczał po zdobycz chodzić,
Lis, jak swojego wroga uwodzić,
Mrówka najdroższy jak czas szanować,
A sokoł z orłem, jak ma wojować.—
Gdy dla wytchnienia broń z siebie składał,
Wierny mu gołąb na sercu siadał,
A czego uczył, niech serce powie,
Nauka serca nie trudna głowie.—
Wyszedł na pola, kraśne kwietnice
Szeptały jemu swe tajemnice.—
Spójrzał na niebo, to niebios gwiazdy
Szeptały jemu cel swojej jazdy;
Co mu szeptały gwiazdy i kwiaty,
To on odnosił pomiędzy braty,
Zawsze ich serce czémś rozweselił,
Zdrowiem nadzielił, szczęściem nadzielił.”

6.

Czego ty roju brzęczysz i brzęczysz,
Nie idziesz w pole, w ulu się męczysz?—

Jak mi iść w pole, gdy niema w domu
Robić porządku i radzić komu.—
Zginęła matka, cóż my bez matki?
Zjadamy miodu dawniejsze klatki,
Albo się kłócim — a dżmile, osy
Coraz do ula wtykają nosy.
Mysz się podkrada, plastry podjada,
O biada biednym, sierotom biada!—
Jeżeli oko opatrzne Boże,
Na nas nie wejrzy, i nie wspomoże,
O! i nam biada, o! i nam biada!

. . . .

Człek śpiewa, echo jego pieśń kradnie,
Któż kiedy z echa całą pieśń zgadnie?
I ja do pieśni dawniejszych czasów,
Przybrzmiałe echa do stepów, lasów,
Zebrałem wiernie, powtórzył wiernie.—
Krzew najpiękniejszy ma kwiat i ciernie,
Kwiat z wiatrem leci, a cierń zostaje;—
Może wam ciernie za kwiat podaję?—
Jeśli to ciernie, to dla mej skroni
Będzie z nich wieniec, co ją przysłoni.—
Niech ją przysłoni, niech ją zakrwawi;
Lecz już z pamięci mej nie pozbawi

Roskosznych dumań, których mi tyle,
W ranne, wieczorne przeciekło chwile.
. . . .

A. K. Groza.

Bunt
Żeleźniaka i Gonty 1768 roku.

Autor tego pisma Jan Lippoman, dopiero od lat 10, w swéj bardzo późnéj starości żyć przestał, a rękopis ten od jego familji dostał się P. Michałowi Jezierskiemu, który go wydawcy udzielić raczył.—Miał Lippoman pod ręką dwa opisania tego buntu Krepsowéj i Tuczapskiego; rękopis piérwszy już został przedrukowany, a drugi gdzieby się znajdywał, nie wiemy. Póki więc rękopis Tuczapskiego nie da się odszukać, niniejsze opisanie będzie miało swe znaczenie, tém bardziej, że jak sam autor zeznaje, iż jeszcze i z opowiadań naocznych świadków starał się prawdę wybadać. Lippoman niewiele i w innych swych pismach okazał umiejętności dobrego pisania, cóż dopiéro w tém, które kreślił prawie w ostatnim roku swego życia? Styl jego zawikłany i ciemny, konieczna potrzeba doradzała gdzieniegdzie sprostować; po przeczytaniu piérwszéj stronicy każdy pozna, że wydawca ani zbytkującym nie był, ani swém własném widzimi się ten materjał historyczny w czémkolwiek zepsuł.

Wydawca A. K. Groza.

Spis rzeczy w tém opisaniu zawartych.

Bunt

Żeleźniaka i Gonty 1768 roku,

W Ukrainie wówczas Polskiéj wynikły i krwawe jego skutki.

Przez Jana Lippomana b. C. P. C. O. G. K.
(*byłego Chorą. Ptu Czeheryń. Obywat. Guber. Kijow.*)

1830 roku.

§. I.

Początek Zamięszania.

Zawiązanie się Konfederacji Barskiej w mieście Barze, wtenczas w Województwie Podolskiém leżącém, jest wiadome z Historji

Polskiéj za czasów panowania Stanisława Augusta. W roku 1768 część Konfederatów do sześćdziesiąt, lub mało więcéj jazdy, przyszła w głąb Polskiéj Ukrainy aż w Starostwo Czeheryńskie, wtenczas na saméj granicy od ściany Rossyjskiéj leżące; a narobiwszy trwogi i zamięszania, szczególnie między pospólstwem, oddaliła się (*).

W téj części Ukrainy Polskiéj, w Starostwach Czerkaskiém i Czcheryńskiém, w wielkiéj części obszernéj wówczas włości Smielańskiéj i innych wielu miejscach, były od dawnych czasów wyznania Greko-Rossyjskiego cerkwie parochialne, także monastery mę-

(*) W opisaniu swojém córka Młądanowicza Weronika Krebsowa wdowa w Humaniu, w czasie opanowania go przez Gontę i Żeleźniaka przy ojcu swym będąca, wówczas lat 18 mająca, w r. 1828 jeszcze żyjąca, mówi: że 1768 r. dnia 3 Marca, przyszli Konfederaci w znacznej liczbie do dóbr Spiczyniec, wtenczas Xięcia Radziwiła, i jakoby był z nimi Puławski Marszałek tego związku. Od nich więc musiała się oderwać ta część Konfederatów i pójść w głąb Ukrainy, o których tam bytności, i Kwaśniewski, a o którym niżej mówić się będzie, opowiadał.

(Wszystkie w tem pismie przypiski są ręki samego autora). Wydawca A. G.

skie: jako to w Starostwie Czeheryńskiém na wyspie rzeki Taśminu w Medwedowie Sto-Mikolajewski, we włości Smielańskiéj w wielkim czarnym lesie, Motrenin zwanym, Motreniński, nad rzeką Tasminem w Zabotynie Sto-Onufrijewski, w lesie Łebedyn zwanym, Łebedynski, w innym lesie Winogradzki i t. d. Także żeńskie: za Czeherynem na półwyspie rzeki Tasminu i Łebedyński.

Po oddaleniu się Konfederatów, przyjechało w Starostwo Czeheryńskie, złożone z dziekanów, kapłanów i dobranéj z ludzi świeckich pomocy, duchowieństwo unickie, w zamiarze skłonienia duchownych nieunitów do unji, lecz gdy ci w żaden sposób do niéj przystąpić nie chcieli, więc zaczęły się różne nawet dotkliwe prześladowania.

Polscy magnaci utrzymywali naówczas na dworze milicje, i tak u Xiążęcia Jabłonowskiego, natenczas Wojewody Poznańskiego, późniéj Kasztelana Krakowskiego, Starosty Czeheryńskiego, w jego z Kozaków w tém Starostwie złożonéj milicji, był półkownikiem szlachcic Józef Kwaśniewski, który pod tę właśnie porę, zastępywał miejsce nieprzytomnego tegoż starostwa rządcy. Widząc on przeciw słuszności, takowe Unitów postępowanie, za pośrednictwem Kozaków

pod swemi rozkazami będących, duchownych miejscowych od prześladowania zasłonił; a Unitów do nieodmiennego wyjazdu przynaglił.

Po takim wypadku, miejscowe tamtejsze nieunitów duchowieństwo zebrało się do Motrenińskiego monasteru, którego Ihumenem (Superiorem) był natenczas Melechisedek Znaczek Jaworski, jak mówiono Małorossjanin; dla naradzenia się jak postąpić, jeżeliby podobny na nich zdarzył się napad? Zgodzili się więc, iżby posłać do Gubernatora Kijowskiego z prośbą o protekcją, lub do Koszowego Zaporożskiego, lecz z miejsc obydwóch, i jak Kwaśniewski wiedzący o wszystkiém, zapewniał, odmówienie odebrali.

§. II.

Żeleźniak w lesie Motrenińskim zawiązuje małą bandę hultajów czyli hajdamaków.

W Ukrainie Polskiej w owych czasach wielkie bywały napady hajdamaków czyli band grabicieli, pod ich przywodźcami, nazwanymi Watażkami (Dowódcami). Bandy te formowały się czasem z krajowych hulta-

jów, a najczęściej z wybiegających na rabunek Zaporożców, (gdyż Zaporoże jeszcze istniało), którzy przybrawszy do siebie z Ukrainy Polskiej wieśniaków, składali często znaczne kupy zbrojne; a przechodząc z lasów pogranicznych, w ciągnący sie mil kilka las Motreniński, lub Łebedyński, przebiegali lasy Smielańskie, Lisiańskie, Zwinogrodzkie, Humańskie, Korsuńskie, Kaniowskie, Taraszczańskie, aż pod Kijów, z nich wypadali na grabieże, napełniali okolicę strachem, i temiż drogami najczęściej bezkarnie i niemal zawsze cali uchodzili nazad ze zdobyczą.

W tym właśnie czasie najdował się w Medwiedowskim monasterze na posłuszaniju, co znaczy dobrowolne poświęcenie się na usługi monasteru z nabożeństwa, Maxym Żeleźniak Zaporożec (*), i kilku z nim innych

(*) Tuczapski wystawia Żeleźniaka jako Setnika Zaporozskiego, grabieżem i rozbojem bawiącego się, i dla tego jakoby niby pokutnika wprzód w Kijowie będącego, ztamtąd do tego buntu między czerń przybyłego, lecz Kwaśniewski, jako całą tę rzecz dobrze wiedzący, i inni współcześni z nim żyjący, tak jak jest wyżej, opowiadali.

Z rękopismów Tuczapskiego i Krebsowej, także z opowiadań naocznych świadków, starał się autor tego pisma wyciągnąć czystą prawdę.

takoż Zaporożców; gdy mu opowiedziano o byłém prześladowaniu przez Unitów, wyszedł on ze swoimi towarzyszami w las Motreniński, i przybrawszy do siebie miejscowych wieśniaków, złożył z ośmnastu ludzi bandę, i téj pobyt założył w tymże lesie na małéj czystéj polance, mniéj więcéj pół morga ziemi zajmować mającéj, nad jarem głębokim, Cholodny zwanym, wielkim i gęstym lasem, tak jak i ona polanka w okrąg zarosłym; przez ten zaś jar przebiega strumień czystéj źródłowéj wody. Polankę tę, jako też i drogę z młynów do monasteru idącą przez las rogatkami dębowemi obłożył, które jeszcze 1780 roku były widziane.

Po takowém umieszczeniu się, pojechał Żeleźniak w nocy z tego obozu, z kilku kolegami, do miasteczka Medwedowki, milę lub mało więcéj odległego, do wzmiankowanego wyżéj Półkownika Kozaków Czehryńskich Kwaśniewskiego; lecz nie zastawszy go w domu, oświadczył przestraszonéj jego żonie, bo już rozszedł się odgłos, że w lesie Motrenińskim są hajdamacy, iżby się niczego nie lękała, gdyż on nie przyjechał w jéj dom ze złém przedsięwzięciem, nie tylko szkodzenia jéj, lecz jedynie z prośbą do jéj męża, iżby on koniecznie był ich

Watażką (Dowódcą), potém prosił wódki, i napiwszy się z swoimi towerzyszami, spokojnie się oddalił.

Kwaśniewski, za powrótem do domu, dowiedziawszy się o takich odwiedzinach i żądaniu, obawiając się powtórzenia onych, i przewidując, iż za odmówieniem mógłby przez tych hultajów być zabitym, wchodząc zaś z nimi w jakiekolwiek związki, ściągnąłby na siebie podejrzenie rządu i sam zostałby uznanym za buntownika, widząc przytém między pospólstwem wielkie zamięszanie, wziąwszy żonę i syna wyjechał do rossyjskiego miasta Krylowa, leżącego tuż za rzeką Taśminem, która była granicą państw Rossyjskiego i Polskiego, na drugim zaś brzegu téj rzeki było miasteczko polskie, Krylów zwane, do Starostwa Czehryńskiego należące, te zaś dwie osady zdają się składać jedno miasto. I tak uniknąwszy grożącego mu niebezpieczeństwa, pozostał na Rossyjskiéj stronie aż do uśmierzenia téj burzy, mając zawsze pewne doniesienia o tém, co się daléj działo, od przychylnych sobie włościan.

Banda ta hajdamacka utrzymała się na wyż wspomnianém miejscu czas niejaki, gdzie skłóciwszy się z sobą, jeden z ban-

dytów drugiego, to jest, Szyło Szwaczkę z pistoletu zabił. O istnieniu téj bandy rozchodziła się wieść głośna; echo to dosyć było dostatecznèm dla odstraszenia Unitów, iżby się mieli kusić na podobne jak przedtém nagabania; lecz rozjątrzona dzikość, innej szukała pastwy.

§. III.

Żeleźniak z lasu Motreninskiego wyrusza. Piérwsza rzeź w mieście Smiły. Idzie dalej w kraj Polski zwiększając swą tłuszczę i zostawując krwawe po sobie ślady. W różnych miejscach powstają naczelnicy buntu.

Rusza więc ta mała hultai garstka z miejsca swojego pobytu na Zabotyń do miasteczka Smiły, mało dalej jak warst 35 od początkowego ich pobytu odległego; a w tém przejściu powiększa się ich liczba do trzechset ludzi, z przybywających z ubocznych wsiów wieśniaków z różnym orężem, a niektórzy nawet, zamiast pik, z osmolonemi na końcach kijami, i przychodzi do miasta Smiły, nic mając w zamiarze sam tylko postrach lub rabunek, jak to hajdamacy przy napadach często praktykowanych robili, lecz

zabójstwo szlachty i Żydów. I takimże sposobem ta zgraja zbójców posuwając się ku Zwinogrodce i Lisiauce, znacząc krwią i grabieżą swe przejście, ciągle zwiększała się, i wkrótce znacznie przechodziła tysiąca liczbę.

Gdy więc Żeleźniak wyszedłszy z lasów Motronińskich, takie czyni postępy, i daléj idąc w kraj Polski, powiększa się, grabi i dopełnia morderstwa; natychmiast w całéj prawie Ukrainie Polskiéj podniosło pospólstwo bunt, rabunek i rozboje.

Z ludnéj pod Motronińskim lasem wsi Mielnikowce poddany garncarz, zwany Nieżywy, ogłosiwszy się Watażką, zebrał kupę z kilkuset buntowników składającą się, i rozciągnął grabież i zabójstwa w dosyć obszernych Starostwach Czerkaskiém i Czeheryńskiém, także w znacznéj części Smielańszczyzny. Powstały w tymże czasie około Chwastowa i w innych wielu bardzo miejscach podobne różnoliczne buntowników zgraje.

§. IV.

Trwoga wskazuje ucieczkę do miejsc obronnych.

Gdy tak Żeleźniak coraz daléj posuwa się i tłum swój powiększa, i drogę swego przej-

ścia krwią zlewa, której i po stronach już płynęły potoki; trwoga dla zagrożonych tak srogiém nieszczęściem, wskazuje schronienia się nadzieję w obwarowanych, jak przed takim motłochem miejscach, w Lisiance, Humaniu i Białocerkwi. W miasteczku Lisiance, dobrach dziedzicznych Xięcia Jabłonowskiego, Wojewody Nowogrodzkiego, był murowany zamek ze skrzydłami w czworokąt zbudowany, mający w swym środku dwa piątra, jedną bramę i dwa bastjony po rogach wyniosłe, mogące obraniać z hakownic żelaznych (rodzaj harmatek) wszystkie ściany onego zamku, sięgając daleko swojemi strzałami; przytém był wysoką dębową palisadą obwiedziony, z bramą drugą drewnianą, także do obrony usposobioną. Miał wewnątrz do bronienia się znaczną liczbę pieszych Kozaków i ammunicji dostatek. Wtenczas znajdował się w nim przybyły z Wołyńskich dóbr Xięcia Jabłonowskiego kommissarz Chiczewski, dla obejrzenia włości Lisiańskiej, (która wówczas była znaczną, składała się jak jest teraz ludność obliczona, ze trzydziestu tysięcy dusz), oraz zabrania z tych dóbr intrat i zawiezienia ich Xiążęciu.

Miasto Białocerkiew miało nad rzeką Ro-

się na górze opalisadowany po wałach zamek, garnizonem i harmatami opatrzony, który mógł obraniać harmatnemi strzałami niżéj niego wtenczas leżące, i opalisadowane miasto.

Humań miasto z ogromną włością, dziedziczne imienia Potockich, był wysoką palisadą dębową i dwóma basztami, przez które był wjazd do miasta, obwarowany; w każdéj baszcie stało po dwie harmat z ammunicją i skrzynią kartaczów. Ówczesny dziedzic Potocki, Wojewoda Kijowski, utrzymywał pólk Kozaków, o którym niżéj się powie, i pięćset głów piechoty nadwornéj, któréj dowódcą był major od rządu krajowego patentowany. Piechota stała w mieście Mohilowie nad Dniestrem, dziedziczeniu wtenczas tegoż Wojewody podległém, dla strzeżenia granic; część z niéj na garnizonie w mieście Tulczynie, do tegoż dziedzictwa należącém, a sześćdziesiąt ludzi w Humaniu do strzeżenia bram (*) i aresztantów, których czasem i do stu bywało, najwięcéj zaś z nich byli Zaporożcy, wybiega-

(*) Tak mówi Krebsowa; Tuczapski zaś w swoim rękopismie wyraża: że było wtenczas w Humaniu do sta ludzi nadwornéj piechoty, z Kapita-

jący na rabunek, a pojmani przez Humańskich Kozaków. Dom ekonomiczny osobno na sposób cytadelli był opalisadowany i czterma bastjonami opatrzony, w tém miejscu nieraz od napadów hajdamackich obraniano się.

Miasto to, dosyć zamieszkane, mieściło w sobie kupców: Rossjan, Greków, Ormian i Żydów, i miało niemało towarów, było w niem przeszło dwadzieścia dworków, w których niektórzy z possessorów, dla bezpieczeństwa od nabiegów hajdamackich mieszkali; było zaś ich naówczas w tej włości wsie trzymających do sześćdziesiąt familij, niektórzy ze szczodroty ówczesnego dziedzica, bez opłaty nawet trzymali one.

Rządcą czyli kommissarzem téj wielkiej włości był podówczas Mładanowicz, który pozostawszy w sieroctwie, wychowany był w domu Xięcia Jabłonowskiego, Starosty Kowelskiego, i przez niego Wojewodzie Potockiemu zalecony, a od niego w roku 1757 na kommissarza tych dóbr przysłany; mieszkanie swoje miał zawsze w Humaniu.

---

nem (Krebsowa Porucznikiem go nazywa) Lenardem, i zebranych dwieście Konfederatów, i że było więcej harmat, ręcznej broni bardzo wiele, prochu, kul, kartaczy, dostatkiem.

Prócz powyższych sześćdziesiąt głów piechoty, zawsze zostawała się na stojce pewna liczba nadwornych Kozaków. Takoż dla zasłony miasta półk Humańskich Kozaków, który składał się z dwóch tysięcy trzechset jazdy, prócz trzechset zawsze w Krystynopolu, rezydencji swego dziedzica, na stojce z przemianą będących.

Półkownikiem tego półku był szlachcic Obuch; naczał, to jest starszyznę składali setnicy, a najcelniejszym był Gonta. Półk ten był odziany na jeden sposób; każden Kozak miał żupan żółty, kontusz i szarawary błękitne, jołomy czyli czapki żółte z czarną barankową opuszką, pas rzemienny, przy którym na rzemiennych paskach przy samym pasie przez niego przewleczonych umieszczona szabatura, czyli podługowaty kartuzik, na kule i skałki, rog na proch zakrzywiony, skórą obciągniony, z mosiężną do nasypywania i wysypywania prochu, oraz zatykania rogu oprawą; nóż dosyć długi i łyżka za pasem; rusznica czyli strzelba na pasie rzemiennym za plecy zawieszona, para pistoletów u siodła, a trzeci za pasem na smyczy, spisa w ręku i nahaj. Naczelnicy podobnymże sposobem byli odziani, mając żupany materjalne i resztę odzieży z dobrego

sukna; szablę i ładownicę w srébro oprawne. Każde dwieście koni były jednéj lecz odmiennéj maści. Półk ten składali gospodarze włości humańskiéj, uwolnieni od wszelkiéj dziedzicowi powinności, danin i opłat, którzy mieli stada koni, bydła, owiec, oraz ogromne pasieki, z których w jednym roku zliczonych, okazało się, iż gdyby wzięta była od nich dziesięcina pszczelna, należałoby dziedzicowi pszczół przeszło dziesięć tysięcy pni; mieli przeto sto tysięcy pni w swych pasiekach, dziedzicowi nic nie dając, nawet ci poddani, którzy Kozaków nie dawali, małe bardzo, i jak teraz prawie nic nieznaczące odbywali powinności i wnosili opłaty, a przeto byli bardzo zamożni. Gonta urodził się ze stanu włościan we wsi Rosuszkach, teraz w dziedziczeniu familji Nelickich przez kupno zostającéj, i oną wieś, gdy został setnikiem, miał sobie daną ze wszystkiemi dochodami; gdy zaś był z kolei w Krystynopolu na stojce, dostał od Wojewody swojego dziedzica prawo dożywotnie na wieś Oradówkę, teraz w posiadaniu familji Andruszkiewiczów będącą. Umiał on mówić, czytać i pisać po polsku.

Półk ten nie był zawsze w kupie, lecz schodził się w czasie potrzeby, lub i bez

tej, raz co roku na popis na pewny czas do Humania, stawał obozem, brał ze składu w mieście będącego chorągwie, na których były herby Potockich pół trzecia krzyża, proporce, hunczuki, i te przy odgłosie trąb, kotłów, biciu w dzwony i odprawianiu się w Cerkwiach nabożeństwa, wyprowadzano z miasta do obozu; a po skończonym przez czas naznaczony popisie, podobnie nazad odprowadzano, i wtenczas dawana była dla naczelników u kommissarza uczta, której i Kozacy w obozie, przy wesołości i śpiewach dum kozackich, byli uczestnikami. Po skończeniu zaś onéj rozjeżdżali się po domach (*).

W takim to stanie przeważnym bronienia się zbuntowanemu podówczas hultajstwu z motłochu złożonemu, przez Żeleźniaka prowadzonemu, a nawet w możności zupełnego tych buntowników zniszczenia, była włość humańska, i sam jéj centr miasto Humań; a zatém każdemu z całéj Ukrainy dla schronienia się przed buntownikami, we krwi płóczącemi się, wskazywała nadzieja pewne i najbezpieczniejsze to miejsce.

Gdy więc o wyjściu Żeleźniaka i jego

(*) Opisanie Krebsowéj.

krwawém posuwaniu się rozleciała się jak przerażająca błyskawica z ogromnemi piorunami wieść we wszystkie strony, ruszyła się więc szlachta i Żydowstwo do ucieczki i szukania miejsca ochrony życia. Lisiański zamek niewiele mógł umieścić, Białocerkiewski toż samo; część więc mała w nich się zawarła; cała przeto nadzieja pozostała na Humaniu, i nieszczęśni wielkiemi tłumami do niego się zbiegali.

§. V.

Zebrany półk Kozaków Humańskich wyrusza przeciw tłuszczy Zeleźniaka. Podejrzenie o wierności Gonty.

W takim stanie zamięszania, trwogi i groźnego niebezpieczeństwa, Mładanowicz kazał się zebrać półkowi Kozaków Humańskich, jak na popis, a wziąwszy na stronę setników, w których liczbie był i Gonta, któremu najwięcej ufał, oświadczył im, i półkownikowi Obuchowi, iż mają iść z pólkiem dla rozpędzenia zebranego przez Zeleźniaka hultajstwa; zachęcał wszystkich do téj wyprawy. Po czém cały naczał udał się do Cerkwi Sgo Mikołaja, wykonał wierności przysięgę, i z tym pólkiem wyruszył ku

miastu Zwinogrodce, gdyż od Smiły ciągnął Żeleźniak, co krok zwiększając swoją tłuszczę.

Po wyjściu półku zaczęło się coraz więcej zbiegać ze wszystkich stron do Humania szlachty i Żydów, szukając w tém miejscu obrony, w liczbie tak dalece znacznej, że już nie mogąc pomieścić się w mieście, zmuszeni byli przed oném stanąć taborami, do których co dzień przybywali uciekający. Już były wtenczas w Humaniu z funduszu Wojewody Kijowskiego Potockiego przez XX. Bazyljanów utrzymywane szkoły; Zwierzchnik ich Xiądz Kostecki, widząc takowy rozruch, zamknął je, i tak studentóm, jako i Professoróm rozjeżdżać się pozwolił; lecz czyli mogli się rozjeżdżać, i gdzie? gdy ze wszystkich stron w Humaniu schronienia szukano. Zostający w taborach odwozili swoje precioza do miasta, i te oddawali do przechowania Mładanowiczowi i Xiędzu Kosteckiemu (*).

Po taborze wieść gruchnęła, iż Gonta porozumiewa się z Żeleźniakiem; udało się ztąd kilku słusznych obywateli do Mładanowicza, uwiadamiając go o tém, oraz prosząc, iżby

---

(*) Opisanie Krebsowéj.

on przedsiębrał czynne dla ochrony środki, Gontę zaś pod jakimbądź pozorem, uprzedzając nieszczęście, wypaść mogące, postarał się jak najprędzej sprowadzić, i za pośrednictwem Magdeburgji, która później uchyloną została, życie odjąć mu kazał.— Mładanowicz nie chciał się skłonić do takowego postępku, jednak posłał zaraz do półku zalecenie, już około Zwinogrodki będącego, iżby wszyscy setnicy stawili się do Humania. A gdy stanęli, Mładanowicz wezwawszy z taboru wielu obywateli, wyszedłszy z nimi i setnikami na rynek, mówił do Gonty w te słowa: »Panie Gonta! donoszą mi, że jesteś w porozumieniu z Żeleźniakiem, ja temu wierzyć nie chcę, wszak gdy dotąd odbierasz tyle dobrodziejstw od naszego Pana, ileż spodziewać się możesz, gdy dobra jego i fortunę od buntów przez Żeleźniaka wzniecconych obronisz?”—Gonta z rzadką wymową usprawiedliwiał się z zarzutu, i gdy mówił o swej dla Pana wdzięczności, płakał; tak to ten zdrajca miał łzy na pogotowiu. Dla większego zaś upewnienia, wraz z innemi setnikami, w przytomności trzech Kapłanów i Księdza Kosteckiego, Rektora Bazyljanów, rotę przepisaną na Krzyż i Ewangelję, wykonał powtórną

wierności przysięgę, i całował rękę onego Księdza Rektora Kosteckiego, a ten męczennik błogosławił swojego kata (*). I tak Gonta, czyli jeszcze wtenczas przez Zeleźniaka do buntu nie wciągnięty, co gdyby już było, zdaje się wezwania Mładanowicza byłby nie usłuchał, czyli nie mając jeszcze za sobą wszystkich Kozaków, (zwłaszcza, że oni w tym składzie, w jakim byli, we wszelkie opływali dostatki), do buntu skłonionych, użył tej chytrej i zdradliwej powolności, dla przekonania Mładanowicza, (zwłaszcza przychylnego sobie, tém bardziej, jak wielu potém utwierdzało, swego kuma, o swej wierności i uśpienia na wszelki przypadek jego ostrożności), potrafił wyśliznąć się z niebezpieczeństwa, i wrócił do półku Kozaków Humańskich.

W dniu następnym po jego odjeździe, niektórzy obywatele, szlachta, zebrawszy się do Mładanowicza, umówili się z nim wyprawić żony i dzieci do miasta Targowicy, na samym brzegu Rossyjskiej granicy leżącego, dla schronienia ich w przypadku nie-

(*) Opisanie Krebsowej. Mówi ona, że przy tém wszystkiém była osobiście.— Dodaje także, iż Mładanowicz był kumem Gonty.

bezpieczeństwa na Rossyjską stronę do miasta Nowoarchangelska, tuż za rzeką Sieniuchą leżącego. Lecz dowiedziawszy się o tém humańscy poddani, po przedmieściach mieszkający, przyszli w gromadzie do Mladanowicza i prosili: iżby téj trwogi nie czynił, upewniając, że Kozacy pokonają motłoch Żeleźniaka; a on usłuchawszy ich prośby i sam odstąpił zbawiennego postanowienia, i innych pociągnął za sobą.

§. VI.

Żeleźniak rozgłasza fałszywe wieści. Tajne Gonty z nim porozumienie się. Rzeź w Lisiance. Białocerkiew ocala się.

Tymczasem coraz daléj posuwał się Żeleźniak, i coraz się zwiększała jego tłuszcza. Rozgłosił on, że już poddaństwo zniesione, i że Ukraina Polska na wzór podtenczas Zadnieprowskiéj, samą tylko kozacką służbę odbywać będzie, i że kraj ten będzie po dawnemu zwać się Hetmańszczyzną; miał on na dowód tego pokazywać (jak wielu jeszcze w roku 1776 starych ludzi opowiadało, co i Kwaśniewski w roku 1783 zmarły, iż od wielu słyszał, swojém opowiadaniem stwierdzał),

jakieś fałszywe na pargaminie z wyzłoconemi literami pismo. Twierdził tenże Kwaśniewski, iż mógł być podejrzany o zrobienie tego pisma Melchisedek Znaczek Jaworski, trudniący się aptekarstwem; jeszcze albowiem w roku 1780 były w Motreninie, z utrzymywanej przez niego apteki: szafy, szuflady, flaszki, oraz słoje szklanne i drewniane z lekarstw, jego ręką pozłacanemi literami ponapisywane, które później powyrzucano, a szafy na skład papierów ekonomji medwedowskiej darowano. Porozumienia takiego istota w mgle niepewności pozostała.

Gonta nie był tak ciemny, żeby nie oparłszy się na jakiejś podstawie, chociaż zręcznie wymyślonej, i będąc tyle udobrodziejstwowany od Wojewody Kijowskiego, i dał się uludzić; co przy zgonie jego, jak się niżej powie, okazało; wreszcie jak nastąpiła zmowa jego z Żeleźniakiem, o tej nic stałego powiedzieć nie można.

Nim buntownicy przyszli do Humania, do którego posuwali się, udała się ich część znaczna do Lisianki. Zamek tamtejszy, powiedziano wyżej, w jakim był stanie obrony; znajdowało się w nim kilkaset osób szlachty i Żydów, zachowania życia szuka-

jących. Buntownicy znajdując go dosyć obronnym, udali się do pospólstwa tego miasta; zpomiędzy niego zacznicjsi gospodarze poszli do zamku i prosili posłuchania u Kommisarza Chiczewskiego, a będąc wpuszczeni do niego, przekładali mu, iż wszyscy zostaną przy życiu i majątkach, byle zamek dobrowolnie oddano, inaczéj bowiem być nie może, gdyż kraj ten będzie już odtąd Hetmańszczyzną. Rozkazał więc Chiczewski otworzyć buntownikóm bramy, a ci wszedłszy rozpoczęli rzeź i okrucieństwa. Na Chiczewskiego włożyli siodło, siadali na niego, a potém spisami zaklóli; tych, którzy schronili się na dachy, na ostrze pik zrzucali, tłumnie wbiegających w pokój murowany przy kuchni, co do nogi wyklóli, i różnemi żelaznemi narzędziami wyrznęli; a tak ten pokój krwią został zlany i ściany zmoczone, że jeszcze w roku 1779 krew ta aż po okna zabieloną być nie mogła. Na drugiém piętrze, które teraz zdjęto, przy samém wejściu ze schodów do sali, przy drzwiach ściana krwią zbryzgana; znać, że uciekający doścignoiony spisą tam przebity został, w tymże roku wyraźnie widzieć się dawała. Wszyscy więc w tym zamku schronienia szukający, okrutną śmiercią padli, prócz kilku osób

przebranych po chłopsku, którym udało się wyjść z aresztantami, których zaraz buntownicy wypuścili, jako też i tych, którzy się między trupami ukryli, a potém w nocy, gdy buntownicy trunkiem opili usypiali, spuścili się z drugiego piątra, nalazłszy przypadkiem sznury, i całkiem nadzy, zakrwawieni uciekli do niektórych wieśniaków, a szczególnie do wsi Sydorówki o mil blizko trzy odległéj, i tam przechowani zostali. Kassę dziedzica i co tylko w tym zamku było zrabowano. Przed wejściem zaś do niego w kościele drewnianym XX. Franciszkanów, powiesili na belce, razem księdza, Żyda i psa, z następnym napisem: *Lach, Żyd i sobaka, wse wira odnaka* (*).

Inna podobnie buntowników zgraja udała się do Białocerkwi, lecz gdy tylko na wystrzał harmatny pokazała się, dano do nich z harmat ognia z zamku na górze leżącego, nie dozwalając im nawet zbliżyć się do mia-

(*) Opisujący to krwawe zdarzenie przyjechał do Lisianki 1776 r. mieszkał w tym zamku lat trzy od wielu jeszcze żyjących wieśniaków i uszłych z téj rzezi, a tym scenom przytomnych, słyszał co się w tym zamku wówczas działo, i widział pozostałe krwawe znaki.

sta, a gdy kule przelatując miasto zaczęły sięgać aż ku rozbojnikóm, zwrócili się więc w inną stronę i odeszli dalej, i tak Białocerkiew ocaloną została.

§. VII.

Gonta i Żeleźniak przychodzą pod Humań i tam jawnie się łączą. Okropność i rzeź w taborach i w samém mieście Humaniu; po zaniechaniu obrony i poddaniu onego różne okrucieństwa.

Po odjeździe z Humania setników, których z przyczyny podejrzenia na Gontę, Mladanowicz, jak się wyżej opowiedziało, zwoływał; nie było czas niejaki żadnej od Kozaków Humańskich wiadomości, znać, że od strony Zwinogrodki nie dopuszczano onej, lecz wkrótce obleciała wszystkich trwoga, czyli to przez doszłą korrespondencją z Pólkownikiem tychże Kozaków Obuchem, czyli z przyczyny innych ubocznych niepomyślnych doniesień i wieści.

Był podówczas w Humaniu Jeometra Szafrański, sprowadzony dla pomiaru ziemi, który wprzódy zostawał w służbie wojskowej Króla Pruskiego, a przeto znający wojsko-

wość. Młodanowicz posłał go dowiedzieć się, jaka też liczba osób za miastem najduje się w taborach? za powrotem uwiadomił on, iż składa się pewnie z sześciu tysięcy osób, i coraz wzrasta (*).

Ten Szafrański obrał sobie mieszkanie na jednej z baszt będących około ekonomicznego domu, wybierając z nich wyższą i dogodniejszą dla uważania przez perspektywę otaczających miasto okolic. Dnia trzeciego potém przybiegł on do Mladanowicza i doniósł mu, iż dostrzegł zbliżający się półk Kozaków Humańskich, który zastanowił się około lasku, zwanego Greków. Wiadomość ta napełniła wszystkich radością, sądzili bowiem, iż rozbiwszy hultajstwo Żeleźniaka, Humańce wracają, lecz wkrótce przybiegł szybko powtórnie tenże Szafrański z smutném uwiadomieniem, że dostrzegł tłuszczę przybyłą w różném odzieniu, (bo Kozacy Humańscy mieli, jak się wyżéj opisało, mundury), któréj przywódźca zbliżywszy się do Gonty witał się z nim, podawszy rękę, jak przyjaciel; zaś Półkownika Obucha nigdzie nie widać (**), nastą-

(*) Opisanie Krebsowej.

(**) W opisaniu swojém Tuczapski twierdzi, że Półkownikóm dwóm: Obuchowi i Magnuskiemu, Gonta, z przyjaźni dawnej, za granicę wyjść dozwolił.

piła więc powszechna trwoga, już bowiem było pewne przekonanie, że Gonta z Żeleźniakiem połączył się, i że ten w ślad za nim przybył, a jeszcze więcej powiększyła się, gdy cała ta horda z Kozakami Humańskiemi rzuciła się na tabor wyrzynając wszystkich do nogi, a będący w mieście patrzeć na to musieli.

Po takowym wypadku rospacz kazała się bronić, mając przytém i działa, przy których w bramach stała nadworna piechota. Szafrański zaś zebrawszy wszystkie strzelby, uzbroił niemi Żydów, i tém uzbrojeniem i całą obroną czynnie rozporządzał, gdy się albowiem zbliżali buntownicy do bram, i chłopów prowadzili z siekierami do podrąbywania palisady, razili onych żołnierze z harmat kartaczami, a Żydzi przez palisadę wystrzałami, i do odwótu przymuszali. Żydzi czynnie i gorliwie przyczyniali się do obrony i wszelkie rozporządzenia Szafrańskiego wypełniali.

W czasie tych napadów Ksiądz Kostecki z farnym Proboszczem chodzili z procęssją przez 28 godzin z Panem Bogiem, i chociaż kule buntowników padały z wystrzałów od uroczyska Turka wśród ludu, jednak nie szkodziły nikomu. Poczytywali to nieszczęśliwi za wróżbę pomyślnej obrony.

W mieście nie było wody, zamiast onej pito wino wołoskie, miody i wiszniaki, zbytne ich użycie odejmowało niektórym przytomność. Wreszcie po trzydziesto-godzinnej takiej wytrwałości, dał wiedzieć Młada-nowiczowi Szafrański, iż żadnego do harmat niema naboju; Gonta postępował z półkiem ku bramie od Grekowa, radził Szafrański, iżby Mładanowicz wyszedł przeciw niego do bramy, i gdy on (Szafrański) lont zapalony zechce przykładać do harmaty do wystrzału, iżby go od tego wstrzymywał, co tak się i stało (*), znać jednak, iż Gonta o niedostatku ammunicji już wiedział, gdy taki obrót żadnego na nim nie zrobił wrażenia, owszem oburzył się na Mładanowicza i mówić z nim nie chciał, ten zaś odstąpiwszy cokolwiek i obróciwszy się do swoich, rzekł: — »niema nadziei, potrzeba poleciwszy się Bogu ginąć!" wtenczas nastąpiła rospacz i okropne lamenta. Sam Mładanowicz z swoją familją, i ile tylko mogło się zmieścić osób, wtło-

(*) Żeby miał dawać Szafrański taką radę, nie zdaje się być podobną rzeczą, gdyż sama Krebsowa o nim mówi, że on uzbroił Żydów, odrażał buntowników harmatnemi strzałami i z ręcznej broni, i sam, jak będzie niżej do ostatka bronił się.

czyli się do kościoła farnego i kaplicy XX. Bazyljanów, iżby w tych Bogu poświęconych przybytkach położyć swe życia.

Gonta i Żeleźniak z swemi rozbojniczemi tłumami opanowali bramy i zaraz zaczęła się wszędzie okropna rzeź morderstwa.

Tak jak jest wyżej o opanowaniu Humania przez hajdamaków, mówi Krebsowa, córka Mladanowicza, w swojém opisaniu. Posłuchajmy co mówi o tém, zdaje się bliżej rzeczy widzący, w swoim rękopisie, wyżej już w przypisku wspomniany Tuczapski.

Buntownicy atakowali miasto od godziny 7méj z wieczora przez noc całą strzelając z ręcznéj broni i pędząc ludzi do podrąbywania i podkopywania palów, lecz będąc rareni kartaczami, zostawiwszy wiele zabitych trupów odstąpili. Gonta, widząc takowy opór, uwiązał chustkę białą do dzidy, jeździł z nią na znak pokoju, i drugą posłał Mladanowiczowi z uwiadomieniem wielce łagodném i pomyślném, byle go wpuścił do miasta, przekładając nieodbite przyczyny, jakie w Lisiance Chiczewskiemu przekładane były, o czém Mładanowicz, nie mając wieści o losie Lisianki, nie był wiadomym; w przeciwnym razie groził mu okropną zemstą. Mładanowicz, pomimo sporu usilnego Kapitana Le-

narda i Chorążego Nadwornej Milicji Markowskiego, chcących strzelać z harmat i ręcznej broni, kazał otworzyć bramy i na wyniesionym stole, wystawić na przyjęcie Gonty chleb i sól, Lenardowi zaś zaraz po tej sprzeczce, udało się wymknąć z miasta.

Tłum więc rozbójników wpadłszy w miasto, obstawił zaraz strażami kościoł, kaplicę bazyljańską i żydowską szkołę, do której Żydzi się chronili. Jeden zbójca wszedłszy w kościele farnym na ambonę wygadywał najokropniejsze bluźnierstwa. Potém zaczęły się srogie mordy: Xiądz Wadowski Kommendarz przy ołtarzu spisą zakłóty został, jednych obnażano, drugich siekierami rozcinano, trzecich strzelano, innym nożami, dzidami, drągami, śmierć zadawano; wywlekano za włosy sędziwych starców, oraz delikatne damy, publicznie gwałcono i zabijano, rozdzierano niemowlęta. Toż się działo i w kaplicy XX. Bazyljanów: XX. Herakli Kostecki Rektor, Jan Lewicki Vicerektor, Eliasz Magerowicz, Epifani Lachocki, Libory Oczaski Misionarz, i Majewski Bazyljanie, dnia 19 Czerwca odprawując wprzód dni dwa nabożeństwo, śmierć męczeńską ponieśli, Xiędza Kosteckiego wprzód postrzelonego, a zbierającego rozrzucone przez zbójców hostje i one po-

żywającego spisami zaklóto i w rynsztok wrzucono; a zaś innych Xięży bito, żądając, iżby wyznali gdzie są schronione klasztorne sprzęty i obywatelskie depozyta, a gdy tych w lochach zakopanych już nie zastali, bo je inni hultaje zabrać uspieszyli, w kije uplotłszy, bijąc po głowie, twarzy, plecach i brzuchu kańczukami i ratyszczami od pik, koląc zwolna spisami, około ratusza prowadzonych, niepodobnych do życia, za wstawieniem się niektórych mieszczan pod straż ścisłą do domu Ihnata Bohatego oddano, a za nastaniem jednego z wspołeczników, około cerkwi S. Mikołaja poklóto, i ciała ich tam na ulicy pozostawiano (*). W żydowskiej bożnicy, Żydów do trzech tysięcy wymordowano, i we wszystkich miejscach miasta Humania tyrańsko zabijano, dzieci brano na spisy, podrzucano w górę i na dach, a jeżeli spadło żywe, dobijano, ciężarne matki męczono, płód z nich próto i okropnie zabijano; widzieć było tarzających się od ran we krwi, pozbawionych rąk, nóg, lub innej części ciała, proszących

(*) O wyborze zaś różnych osób z kościoła i kaplicy dla chrzczenia, jak z nich wypędzaniu, niżej z opisania Krebsowej mówić się będzie, w której liczbie i ona była.

o dobicie siebie. Wielu, przybiegłe ze wsiów pobliskich pospólstwo, rozrąbywało siekierami i zabijało drągami; wyszukiwano schronionych w lochach, jamach, chwastach i różnych kryjówkach i tych w jedno miejsce prowadzono i zabijano; nawet kobiety, za przykładem mężczyzn, ożogami, nożami, rydlami, sierpami, rznęły i zabijały, zachęcając do tej rozjadłości dzieci swoje. Trupy do naga odzierano i niepogrzebane zostawiano, i tak w krótkim czasie więcej ośmnastu tysięcy ludzi tyrańską śmiercią zginęło; kościoł, kaplicę i całe miasto ze wszystkiego złupiono, depozyta i wszystkie rzeczy do Gonty znoszono. Złoczyńce, w suknie z trupów ubrani, na ołtarzach siadali, na nogach sobie chodaki poprawiali, lub z nich zrzucali. Puszkę niesioną z Eucharystyą do cerkwi przez bogobojnego Alamana nazwiskiem Tyłyk, rozbestwiony motłoch z rąk mu wybił, kommunikanty na ziemię rozsypał i we krwi podeptał. Na krucyfixy plwano. Inni ubrawszy się w ornaty na nierząd udawali się. Patyny dziurawili i na znak dystynkcji na sobie wieszali. Kielichów kościelnych do opilstwa używali.

Kilku tygodniami przed tą w Humaniu krwawą sceną, miał jakoby pisać Wojewoda Potocki, dziedzic tego miasta, do Gonty pełen

łaskawych wyrazów list, przyrzekając mu, przyznać w dziedzictwo posiadane przez niego folwarki i nadać mu prawem dożywocia jeszcze dwie wsie, byleby w bronieniu Humańszczyzny, a osobliwie Humania, był wiernym, czułym i starannym. Mładanowicz listu tego, czyli przez zazdrość, czyli przez wzgardę, czyli z innych jakich przyczyn, miał mu nie oddać; jednakże on, zkądinąd miał się o tém dowiedzieć; a gdy Mładanowicza rzeczy zabranémi i do niego przywiezionémi zostały, i o téj prawdzie Gonta upewnił się, nalazłszy pismo to między témi rzeczami, stawionemu przed sobą Kommisarzowi, pełen złości wyrzucał: „Zdrajco, zmienniku! czemużeś mi tego listu, (trzymając go w ręku), nie okazał, cóż ci się z zatajenia jego przedemną zawiązało? ty jesteś téj krwi, wskazując na trupy, rozlania przyczyną!” Ciął go w odkrytą głowę szablą, padł skrwawiony Kommisarz do nóg, ale go natychmiast przygotowani zbójcy w sztuki porąbali. Przyprowadzono także Ekonoma miejskiego Skarzyńskiego, i ten, chociaż go chciał Gonta ochronić, z tłumu zażartego pospólstwa, zastrzelony został.

Przerwijmy w tém miejscu opowiadania Tuczapskiego, w jego rękopisie zawarte, a

wróćmy się do kościoła i kaplicy XX. Bazyljanów i posłuchajmy co się tam działo, przy wybieraniu w tych miejscach różnych osób dla chrzczenia, o czém i o innych zdarzeniach Krebsowa jak następuje uwiadamia.

W czasie trwogi i tak strasznych wynikłości w tych poświęconych przybytkach, tłuszczą okrążonych, dał się słyszeć głos, jakiegoś z tych zbójców naczelnika, iżby wyszedł z kościoła do Gonty Kommisarz i Kassjer z całą rodziną. Zmuszeni więc byli wykonać to wezwanie, stawili się przeto: Mładanowicz z matką, żoną, synem i córką podówczas lat 18 mającą panną, potém wdową Weroniką Krebsową i innémi krewnémi w liczbie dwónastu osób. Wtenczas włożył Mładanowicz na szyję swej córce obraz N. Panny, mówiąc: iż go ma z błogosławieństwem od pradziada swego, i jéj go tak daje, a gdy go z rozkazu Gonty, który z wielu zbójcami stał u drzwi kościoła, brał za rękę jeden Ataman, rzekł Mładanowicz do jednego z Setników: — ratuj nas Panie Jaremo, lecz on odpowiedział: — niech was Bóg ratuje, ja was nie uchronię — i zdawał się łzy ronić (*). Syna i cór-

(*) Zgon Mładanowicza wyżej Tuczapski opisał.

kę Mładanowicza, oraz ich ciotkę, po wzięciu ojca, przestrach znowu do kościoła zapędził.

Gdy zbójce dopełniali w świątyniach morderstwa, inni wybierali zpomiędzy młodych kobiet im upodobane, dla ochrzczenia i ożenienia się potém z niémi; a inni mężczyzn sobie znajomych i od siebie wprzód lubionych, a inni litościwi chociaż nieznanych, lecz szczególnie przez ochrzczenie dla zachowania im życia (*).

Tłumnie więc pędzono ten wybor przed sobą do mieszkania Mładanowicza, które, jak się wyżej rzekło, było opalisadowane na wzór zamku. W czasie wytłaczania nieszczęśliwych tych ofiar z kościoła, pchniętą była spisą córka Mładanowicza, lecz upadłą podniósł za włosy jeden ze zbójców i wziął woreczek, któren jéj ojciec, dając obraz, wrzucił był w kieszonkę przy fartuszku będącą, zapewne ze złotem. W tym przepędzonym do mieszkania rządu ekonomicznego i na dziedzińcu

(*) Inni młodzi mężczyźni ze stanu szlacheckiego, zachwyceni w mieście, umiejący dobrze pacierze i śpiewać Ruskie pieśni, osobliwie o S. Mikołaju, udając siebie za sielan, uchronili się od śmierci.

umieszczonym oddziale, z familji Mładanowicza naleźli się: syn jego, córka i ich ciotka.

Z tego miejsca zbiór ten osób przepędzono do cerkwi dla ochrzczenia, przy której drżący od strachu (*) oczekiwał na nich kapłan, który zmuszony był dopełniać chrzest. Kumi byli gotowi z tychże samych rozbójników; przy chrzczeniu zaś dzieci Mładanowicza byli niémi, Gonta i Żeleźniak; ciotka ich zaś za to, że się odezwała z prośbą do Boga, iżby jéj dozwolił w téj wierze umiérać, w któréj się urodziła, od stojącego za nią chłopa miała rozciętą głowę, i tak życie skończyła (**).

Po téj ceremonji, odprowadzono wszystkich ochrzczonych, na odwach byłego garnizonu, i tam w kordygardzie zamknięto, taki zaś był w niéj natłok, że tylko stać mogli. W liczbie ochrzczonych były młode Żydówki, lecz z tych kilka wyprowadzono i zabito (***).

(*) Stary kapłan, że chrzcić nie chciał, był zabity, dla tego ten drżąc chrzcił.

(**) Podobnych ofiar jeszcze dwie padło.

(***) Znać, że Kozacy Humańscy już do rozboju tego należący, w czasie stojek w mieście, musieli mieć jakąś nienawiść do ich rodziców, już po-

Tegoż dnia po ochrzczeniu, gdy jeszcze najdowali się w tém miejscu, ku wieczorowi dał się słyszéć głos zapytujący po rusku o dzieci Mładanowicza; to zapytanie zdawało się być hasłem ich śmierci, lecz wchodzi między zatrzymanych Kozak z rozkazem, jakoby od Gonty, iżby nikogo z ochrzczonych nie zabijano. Zbliża się on do córki Mładanowicza i syna, a oni poznają w nim krewnego swojego, w kozackie odzienie przebranego (które dał mu Kozak z possessji ojca jego); nachyliwszy się on, cichym głosem uwiadomił ich: iż ich i jego rodziców pozabijanych zwłoki leżą na ulicy przed domem mieszkańca humańskiego Bohaty zwanego.

W takim stanie, gdy przez całą dobę (słysząc nieustanne krzyki i jęki zabijanych) po ochrzczeniu zostawali, wchodzi jakiś naczelnik rozbójników i wywołuje do wyjścia na odwach Mładanowicza dzieci, już to zwiastowało im ostatni wyrok ich śmierci, lecz wyprowadzający z tego więzienia, gdy rzekł do

---

zabijanych, a dowiedziawszy się o ich dzieciach, chociaż ochrzczonych, i ich pozabijali. Inne zaś młode kobiety, wkrótce dla ożenienia się z niemi, a niektóre dla przechowania i wypuszczenia porozbierali.

nich: —Nełekajte sia Boh z wamy— zatrzymał mdlejące już ich życia; ujrzeli oni przed odwachem, siedzącego na koniu Gontę, i zaraz podjechał do niego w odmiennym ubiorze drugi naczelnik; był to Żeleźniak, a za nim szło trzech ludzi, jeden z nich starzec, i od jednego do drugiego z tych jezdców chodził, i siedzących na koniach w nogi całował; wtem odezwał się Gonta: —Berit ich sobi, bo i Pan Żeleźniak prosit, szczoby ich wam podarowaty.— Wtenczas wszyscy ucałowawszy nogi Gonty i Żeleźniaka, wzięli córkę i syna Mładanowicza, przyprowadzili do swych wozów, na jednym ułożyli obojga, i radnem przykrywszy, wsiadł jeden do pędzenia koni, a drugich dwóch usiadłszy na drugi wóz, ile mogły konie wydołać, ujeżdżali.

Oddaliwszy się zaś znacznie od Humania, dopiero zastanowili się, i odkrywszy one uwożone rodzeństwo, oznajmili onemu: iż oni są ze wsi Ositny, którą ich ojciec miał w possesji. Starzec Osadczy, czyli wiejski Ataman, a inni dwóch sielanie, i że, brata ich, który był przy mamce, mamka uniosła i przechowuje się z nim w innej wsi.

I tak zawiozłszy ich do Ositny, przebrali w swoje odzienie, na dzień wyprawiali w pole, niby dla gromadzenia siana, a w nocy

chronili w lasach i trzcinach, bojąc się rozbiegłego już po wsiach hultajstwa, z których część, podczas ich oddalenia się do Humania za dziećmi Młaďanowicza, wpadła do wsi, Ekonoma z żoną i trojgiem dzieci zabiła, co było w folwarcznym domu ograbiła i zabudowanie folwarczne zburzyła. Lecz zostawmy Mładanowicza dzieci w tém schronieniu, a wróćmy się do Humania i przypatrzmy się dalszym szkaradóm, tych nienasytnych krwi ludzkiej potworów, i im podobnym, rozgałęzionémi w różne strony kupami, dopełnianym grabieżóm i morderstwóm.

§. VIII.

Dalsze czynności buntowników, różnych ich kup na łupieztwa rozejścia się, ich tyraństwa i napad na Turecką granicę.

Po wymordowaniu w Humaniu do dwódziestu prawie tysięcy osób, zbrodniarze ci, osądzili, że wymordowani przez nich niegodni są, iżby ich zwłoki ziemia pokryła, lecz gdy smród z ciał zgniłych, przymusił do ich zagrzebania, kazali więc wrzucić je w studnię bardzo głęboką, w którą upewniano, że wielu studentów żywych wrzucono, w czasie

dopełnianych zabójstw (*); reszta zaś trupów za miastem, została na pożarcie psóm, bestjóm i drapieżnym ptakóm. Nad tą studnią, dopiero wspomnianą, w mieście będącą, a o której Krebsowa powiada: że jeszcze skończona nie była i nie miała wody, z narzucanych i ziemią zakrytych trupów, powstała mogiła, i jeszcze w roku 1779 dość znaczna, teraz zaś najduje się ona pod murami ratusza.

Poczém buntownicy zaczęli biesiadować; pito prawie dwa tygodnie. Herszty przy wystrzałach z harmat i ręcznej broni, dawali sobie tytuły i godności. Maxym Żeleźniak Hetmanem i Xięciem Silańskim, Gonta Półkownikiem i Xięciem Humańskim, Kozak Ułasenko ustanowiony Humańszczyzny rządcą, który najlepiéj na tym urzędzie wyszedł, bo zabrawszy pieniądze na Wołoszczyznę uciekł; naznaczono także i innych urzędników, dając temu urząd wyższy, kto więcej popełnił zabójstw.

Tłuszcza rozbójników coraz wzrastała przez przybywające ze wszystkich stron chłopstwo, i z niéj znacznémi kupami, bystro rozciekały

---

(*) Studentów było w szkołach humańskich 400.
Tuczapski.

się na różne strony ich oddziały, a mianowicie: udały się do miasteczek Granowa, Teplika, Daszowa, Tulczyna, Manastyrzyszcz, Hejsyna, Konely, Bosówki, Żydyczyna, Ladyżyna i innych wielu, a także po wsiach; a Setnik Szyło do Balty; nie najdując zaś nigdzie przeszkody, gdyż nigdzie wojsk Polskich nie było, z przyczyny Konfederacji Barskiéj, przeciw Królowi powstałéj.

Szyło przyszedłszy do Balty, na saméj wówczas granicy Tureckiéj leżącéj, widząc: że Szlachta i Żydzi z majątkami swojémi, uszli na stronę Turecką, żądał ich sobie wydania, a gdy to odmówioném zostało, przybrawszy więcéj hultai i widząc się liczniejszym od Turków granicznéj straży, przeszedł gwałtem granicę i nieszczęsnych tu schronionych wyrznął (*).

Herszty tych rozbiegłych zbójców, chcąc się z męztwem popisywać, i zyskiwać od naczelników swoich Gonty i Żeleźniaka wyższość ich siebie uważania, wpadłych w swe ręce Polaków i Żydów niektórych przyprowadzali z różnych stron do Humania, i tych

(*) Te gwałtowności opisuje Tuczapski.

w ich obliczu i zgrai swych towarzyszy, kłóli spisami, lub zabijali z ognistej broni (*).

§. IX.

Stan ówczesny Polski. Zręczne działanie pomocy Rossyjskiej.

Polska w tym czasie zostawała w okropném domowém zamięszaniu i ostatecznym nieładzie, z przyczyny zawiązania się w ró-

(*) Opowiadanie Kwaśniewskiego, któren po uśmierzeniu tego buntu, ślady jego tyraństwa zwiedzał. Autor tego pisma przyjechał do Kwaśniewskiego do Starostwa Czeheryńskiego do miasteczka Medwedowki 1780 roku, stał z nim w jednym pokoju przeszło pół roku, któren cały początek tego buntu opowiadał mu, równie wielu jeszcze żyjących ludzi, jako obecni tych nieszczęść świadkowie, toż samo najdokładniej stwierdzali; miał z tym Kwaśniewskim aż do jego 1783 roku przypadłej śmierci towarzystwo; widział w lesie Motronińskim rogatki, któremi się początkowo był Żeleźniak obłożył, gdyż jako dębowe nie zgniły były jeszcze zupełnie. Widział horn, w którym Watażka Nieżywy garnki palił, i chatę gdzie mieszkał. Widział w Humaniu nad studnią mogiłę, i widział z uciętą jedną nogą i ręką na krzyż jednego buntownika.

żnych jéj stronach wyż wymienionéj Konfederacji Barskiéj i jéj się rozszérzenia.

Wojska Polskiego, którego i tak było mało, jedna część połączyła się z Konfederacją, a druga chociaż stała przy Rządzie i Królu, lecz w różnych znajdowała się miejscach, a najwięcéj bliżéj Warszawy i wewnątrz onéj, część zaś mała chociaż była na Podolu, bliżéj Ukrainy, lecz nie była w możności tak obszérnego buntu uśmierzyć. Udał się więc Rząd Polski z prośbą o pomoc do dworu Rossyjskiego, i tę otrzymał.

W tym samym czasie, gdy w Humaniu tak krwawe działy się sceny, część Konfederatów zamknęła się w berdyczowskim karmelitańskim obwarowanym klasztorze, któren wojsko Rossyjskie trzymało w osadzie. Należy tu wspomnieć o téj okoliczności, jako mającéj związek z dalszą (co się tycze Humańskich buntowników) następnością.

Buntu rozpalonego w Ukrainie stał się Humań, przez zgraję wielką buntowników w nim i około niego zebranych, głównem ogniskiem: potrzebą więc wskazywała dla zagaszenia onego, szczególniéj w to miejsce obrócić czynną uwagę; jakoż, mądre rozporządzenie Rossyjskiéj pomocy, zwróciło do tego celu swą baczność.

W skutek czego, przyszedł pod Humań pólk Rossyjski, pod dowództwem Półkownika Kreczetnikowa (*), i stanął pod nim obozem.

Tłuszcza rozbójników, złożywszy dla podziału w mogiły różne zdobycze i nasypawszy w kadeczki srebrnej monety, a osobną zsypawszy miedną, stała taborem przed miastem, zajmując i same miasto; stada zaś koni, bydła, owiec, pasione były pod ich strażą w polach.

Półkownik posłał prosić ich naczelników do siebie, dla ważnego dla nich (rozkazawszy tak powiedzieć) i pożytecznego naradzenia się, lecz oni obawiając się jakiego podstępu i niepomyślnego wypadku, bytności swojej odmówili. Półkownik więc wziąwszy z sobą oficerów, sam do nich pojechał, a obchodząc się z nimi z wszelką grzecznością, przekładał im: iżby oni szli z jego pólkiem przeciw Konfederatóm, dla wzięcia berdyczowskiej fortecy. I wielokrotnie z udaną grzecznością, przyjeżdżając do nich i odjeżdżając, nakoniec pozyskał ich ufność tak, że oni ośmielili się i

(*) Tuczapski pisze, że pólk był Karabinierów, a Półkownik nazywał się Nołkin, lecz wszyscy upewniali, że Kreczetników.

z odwiedzinami do niego do obozu jeździli, w którym on ich ugaszczał trunkami, i ile można najuprzejmiej przyjmował, a nawet jak przyjaciel wyprowadzał, i u nich także często bywał, dom nawet Gonty i jego familję, jak świadczy Krebsowa, odwiedzał. Naostatek przekładał im, iż już pora ruszyć się do wojennych czynności, lecz wprzód najduje on konieczną potrzebą, iżby oni uporządkowali swój obóz, ażeby można w nim opatrzyć zebranych ludzi, złożyć ich w setnie, obejrzeć takoż broń, konie i wszelkie wojenne potrzeby, a dopiero w takiem uporządkowaniu, ruszyć się w pochód.

Ubezpieczeni ci główni bandyci tak otwartém z sobą postępowaniem, robiącém dla nich zaszczyt z przypuszczenia siebie do takiego towarzystwa, zgodzili się wypełnić radę Półkownika. Uporządkowali swój obóz z zwołaniem do niego swych ludzi (jeżeli ich godzi się nazwać ludźmi) ile mogli zebrać, sprowadzili konie, siodła i inne do nich należności.

Wtenczas Półkownik z swymi oficerami, pojechał w ich obóz, robił wraz z nimi przegląd ludzi, broni, koni, siodeł i t. d. i dzielił ludzi na setnie, i co mu się zdawało rozporządzał; nakoniec radził im, aby zaprowa-

dzili tak, jak w jego obozie, odwach, na którym pod upewnieniem wart wyznaczonych, radził złożyć wszelką broń; takoż aby setna każda miała swe osobne stanowisko; co oni wszystko wykonali.

Po skończeniu tego uporządkowania, wyprawił dla tej zgrai ucztę, mając przygotowaną w wielu beczkach gorzałkę; swoim sołdatóm osobnym obozem stojącym, zakazał, iżby jéj nie pili i nie łączyli się z témi buntownikami, lecz żeby pili wodę, wykrzykując za ich zdrowie; u siebie zaś częstował starszyznę. Czerń dopadłszy się do gorzałki, piła ją do zbytku, tak, iż ku zmierzchowi wszyscy prawie bez zmysłów pozapijali się, równie i starszyzna przy uprzejmém przyjęciu i dopilnowaniu, w podobnym nalazła się stanie, i tak prawie wszyscy w głęboki, bez wszelkiego czucia pogrążyli się sen.

Dzień ten na ten przegląd Półkownik z układu swego przeznaczył, gdyż już był upewniony, iż spieszące do niego Dońskie Kozaki, w liczbie tysiąca koni, z nagotowanémi więzami stoją w blizkiém miejscu. Za ich więc przybyciem, rozkazał on (postawiwszy obserwację koło taboru czyli obozu) już złożoną wszelką ammunicję i oręż w jedno miejsce, a takoż harmaty, równie i konie zabrać,

a naczelników, i uśpiony motloch, wiązać, a jeżeliby któren uciekał z taboru, więc nie strzelając imać, gęby dla nierobienia krzyku zawiązywać, i takimże sposobem z przytomniejszémi postępować.

Rozporządzenie to, tak zręcznie wykonane było (*), iż ci bultaje nie wiedzieli co się z nimi stało, aż dopiéro nazajutrz, gdy się pobudzili, i dopiéro im Półkownik powiedzieć kazał, iż ich jako rozbójników z rozkazu swego rządu ma pod strażą; a rozdzieliwszy i dodawszy do nich warty, kazał im zapowiedzieć, iż któren tylko okaże jaką niespokojność, na miejscu zabitym zostanie. Takim więc sposobem buntownicy w wielkiém mnóstwie zabrani zostali.

(*) Tuczapski pisze: iż przyszło wprzód sześćdziesiąt Dońców z Porucznikiem Krywoj, a potém i półk, i że Dońce mieli zabrać w mieście pijanych Naczelników, a potém brali i wiązali ich podwładnych; lecz to nie zgadza się z istotą rzeczy, a Kwaśniewski całą tę czynność, jak jest wyżej, opowiadał, bo zaraz po scichnieniu buntu do Humania, dla dowiedzenia się o wszystkiém jeździł, i że tam był Kreczetników upewnił.

§. X.

Gontę i Polskich buntowników komenda Rossyjska oddaje wojsku Polskiemu.

Dowódźca Rossyjski, oddzieliwszy Żeleźniaka i innych Rossyjskich poddanych, którzy z pogranicza dla rabunku przyłączyli się do tych buntowników, Gontę z Polskimi buntownikami, nadeszłemu i w blizkości oczekującemu, oddał wojsku Polskiemu.

Takowém więc mądrém rozporządzeniem ten czcigodny i dostojny dowódźca, z daleko mniejszą liczbą ludzi, bez utraty żadnego człowieka i bez wystrzału, zabrał, jak Kwaśniewski i inni upewniali, przeszło czterech tysięcy zbrojnych i mających harmaty buntowników, reszta zaś ich, a może w podobnej lub i większej liczbie, blizko Humania po wsiach najdująca się, a która jeszcze do swoich Watażków do taboru (zwykłem, jak w takim łotrowskim zbiorze, nieposłuszeństwem i opieszałością w wykonaniu ich rozkazów powodowana) nie stanęła i rozbiegła się. I tak to siedlisko zbójców zniszczone zostało.

Gonta zawieziony był do wsi Serbów, około Mohilowa nad Dniestrem leżącej, i tam

został ukarany; kat żywcem darł z niego pasy. W téj męczarni z rospaczą on wołał: „Dla czego niéma tu Żeleźniaka? on to obiecywał mi, że będę Wojewodą Kijowskim i panem Humańszczyzny!" (*). W téméże miejscu innych jeszcze kilku ukarano śmiercią; a resztę rozsyłano po różnych polskich miastach, aż do Lwowa, w których szubieniczną śmiercią karani byli, niektórym zaś urąbywano nakrzyż rękę i nogę, i tak wyleczywszy w strach drugim puszczano, z których jeden w starostwie Czeheryńskiém 1780 roku we wsi Iwkowcach jeszcze był przy życiu. Żeleźniak bity był na granicy knutem, inni w miarę przestępstwa ponosili karę.

§. XI.

Dalsze stłumienie oddzielnych hord rozbojniczych. Nagrody od Króla.

Chociaż główna siedziba buntu Humań, z gadu tego jadowitego mądrém rozporzą-

(*) Krebsowa w swojém opisaniu mówi, że Porucznik wówczas Kawaleryi Narodowej, później Brygadier Golejewski, który był przytomny tej exekucji, jej także to opowiadał.

dzeniem Kreczetnikowa był oczyszczony, jednakże wielkie mnóstwo buntowniczych hord, tak z Humania wyszłych, jako i osobno powstałych, w różnych miejscach i w niemałej przestrzeni, w znacznych liczbach znajdowało się, i te jeszcze ciągnęły dalej rzeź i rozboje. Poszły więc za niemi w różne strony oddziały wojsk Rossyjskich i Polskich koronnych, oraz nadworne panów komendy.

W starostwie Czeherynskiém Watażkę Nieżywego, który, jak się wyżéj powiedziało, z garncarza zrobił się naczelnikiem buntowników, zwabiwszy na ucztę do wsi Gałaganówki, nad granicą wówczas niżéj Czeheryna leżącéj, wziął podtenczas Półkownik (a potém Jenerał-Porucznik Czorba) (*), i zbiór tych buntowników zniszczył, z których jedni rozbiegli się, a drudzy zabrani zostali.

W Makarowie Setnik z dóbr Kornińskich, imienia Proskurów dziedzicznych, Szczerbina z ich Kozakami niemałą także hordę z Watażką Bondareńkiem zabrał i rządowi oddał; za takową wierność i usługę, z przedstawienia swego dziedzica, szlachectwem i pieniężną kwotą na kupno ziemi na Sejmie nagro-

(*) Był wydawcy tego pisma znajomy, i w jego domie bywał.

dzony został (*). Inne komendy w różnych miejscach zbuntowane kupy zabierały i rozpędzały.

Stępkowski Regimentarz, potém Wojewoda Kijowski, przyszedłszy z komendą do Lisianki, sześćdziesiąt włościan, bez żadnéj formalności prawnéj powiesić kazał.

Wreszcie rozesłane po wsiach i miasteczkach małe wojsk Rossyjskich i Polskich oddziały, wybadywały o należących do buntu włościanach, tych brały i wysyłały w różne miejsca, a szczególnie do miasta Kodni, blisko Żytomierza, gdzie była wojskowa komenda, a tam nad wykopaną głęboką jamą, na jéj brzegu do kłody, każdemu z przysłanych kat toporem głowę ucinał i w jamę wraz z ciałem wrzucał; a gdy jedna napełniła się, kopano drugą. I tak w tém miejscu wielkie mnóstwo wieśniaków straciło życie.

Mogły tam paść i niewinne ofiary, pomówione przez złość o zbrodnię, gdyż dosyć

(*) Nagrodę tę wyjednał mu Kajetan Suszczański, Proskura, Prezes Sądu Gł. Guber. Kijow. Cywil. Departamentu Radca Kollegialny, Orderu S. Anny drugiej Klassy Kawaler, na onym Sejmie Poseł i Sędzia Sejmowy.

było samych najmniejszych pozorów w należeniu jakimkolwiek sposobem do buntu (*).

Przykładali się także do utrzymania w spokojności sielanów i uśmierzenia zamięszania, Półkownik Kozaków wtenczas starostwa Bohusławskiego Szelest, za co od Króla Stanisława Augusta złotym medalem ze swym portretem dla noszenia na szyi obdarzony został. Także Naczelnik nadwornej milicji Starostwa Kaniowskiego Oxenly, który od tegoż Króla innym sposobem był wynagrodzony.

§. XII.

Zastanowienie się nad możnością milicji Humańskiej. Błędy w jej użyciu.

W takiém położeniu, w jakiém wtenczas była Polska, sama tylko Humańska milicja,

(*) Opowiadanie Kwaśniewskiego naówczesnego świadka. Co się tycze nagród, twierdzi on, że Osadczy wsi Podwysokie licznie nasiedlonej, w Humańszczyznie leżącej, mając za sobą wielu włościan, nikogo z tej wsi do hultajstwa nie puścił, chcących udawać się do tego rozboju uskromił i spokojność utrzymał; za co po uśmierzeniu tego w Ukrainie rozruchu, nie tylko sam przez dziedzica od wszelkich powinności i opłat uwolniony został, ale i dla całej tej wsi wiele dobrodziejstw wyjednał.

jako tak liczna i skoncentrowana, mająca piechotę i harmaty, będąc rostropnie i umiejętnie kierowana, mogła była zagasić ten wszczęty pożar. Wszakże pólk jeden konny Rossyjski, podsycony tysiącem Kozaków Dońskich, rostropnie przez Pólkownika Kreczetnikowa prowadzony, i mądre jego rozporządzenie, aż nadto dalcko większą zgraję, niż była zpoczątku Żeleźniaka, i już mającą z sobą lepiej, a nawet dobrze uzbrojonych Kozaków Humańskich, przytém posiadających opalisadowany Humań i w nim kilka sztuk harmat, potrafił bez wystrzału zniszczyć.

Prawda, że buntownicy żadnym podstępem uwieśćby się nie dali; lecz w samym początku, gdyby sprowadzona była z Mohilowa nadworna piechota, gdzie, jak się wyżej powiedziało, najdowała się, i złączona została z pólkiem Kozaków Humańskich, tak dobrze uzbrojonych, z dodaniem kilku harmat, które były, a ten oddział, tym sposobem złożony, i niemałoliczny, gdyby był oddany umiejętnemu i rostropnemu dowódcy, przeto za jednem uderzeniem rozproszonyby został motloch Żeleźniaka i bunt byłby uśmierzony.

Lecz przypatrzmy się jak kierowano tą milicją. Już jest wyżej powiedziano, jak

Humań do zasłonienia się przeciw niemającemu dział hultajstwu był opatrzony. Krebsowa pisze, że było w mieście sześćdziesiąt żołnierzy piechoty, kilka harmat i trzydziestu Kozaków. Mała to liczba była, nawet Kozacy zobaczywszy za miastem swych towarzyszy na przeciwnej stronie, przez palisadę przelazłszy do nich uszli. Lecz gdyby i tak było, jak Krebsowa uwiadamia; pełne jednak miasto było szlachty, i pewnie nie bez broni z wielu stron przybyłej, i mnóstwo w niem najdowało się Żydow, przytém czterysta studentów, między którymi być musiało wielu dorosłych; a zatém z tego zbioru można było dostateczną złożyć milicję, którą składający, widząc już rzeź za miastem w taborach spełnioną, dla obrony rodziców, żon, dzieci, krewnych i swego własnego życia, w takiej ostateczności zacięcie z rospaczą by się bronili, zwłaszcza w obwarowaném, jak przeciw buntownikom, mieście, i niemającym jak ręczne strzelby i dzidy, a sami zaś mając dostatek ammunicji i harmaty, których strzałami (jak taż Krebsowa pisze) mógł rozporządzać Szafrański, czego dowiódł uzbroiwszy Żydów i odrażając kartaczami napady hultajów.

Tuczapski zaś daleko większą liczbę zbroj-

nych ludzi w Humaniu wtenczas najdujących się opisuje; wyraża on bowiem, iż było do stu ludzi piechoty, dwieście Konfederatów, dosyć różnej broni, ammunicji, i więcéj niż Krebsowa opowiada harmat; a także o niedostatku wody w mieście nie wspomina.

Czyli więc w piérwszym, a tém bardziéj jeżeli w drugim stanie obrony najdował się Humań, można się było dostatecznie bronić buntownikóm, i dosyć długo; wytrwałość zaś w bronieniu się, dałaby była czas sprowadzenia na pomoc milicji pieszéj samego dziedzica Potockiego, stojącej w liczbie kilkuset w Mohilowie i Tulczynie, lub zbliżenia się jakich komend wojsk Rossyjskich lub krajowych, a co i nastąpiło.

Lecz Mładanowicz, jako zwierzchni rządca, różne popełnił błędy. *Naprzód*, jeżeli tak było, jak jego córka Krebsowa opisuje, że wysyłając Kozaków Humańskich przeciwko Żeleźniaka nie opatrzył Humań w dostateczną ammunicją. *Powtóre*, jeżeli w studni miejskiéj nie było wody, bez któréj obejść się niepodobna, czemu nie obwarował przystępu do blizkiéj rzeki? do czego miał czas i ręce. *Trzecie*, gdy oskarżono Gontę o porozumienie się z Żeleźniakiem, a on dla usprawiedliwienia się przyjechał do niego, ma-

jąc go w ręku nie korzystał z tego? bo chociażby był i nie wierzył jego oskarżeniu, jak i uczynił, powinien był jednak zatrzymać go w Humaniu pod jakimkolwiek pozorem.— Półkownik szlachcic Obuch z pozostałemi setnikami, nie tak przewrótnymi, których potrafiłby odwrócić od wdawania się w jakiebądź znoszenia się z Zeleźniakiem, uderzyłby był z dobrze uzbrojonymi pod swą komendą Kozakami na jego tłuszczę, i mógłby był ją pewnie rozbić i rozpędzić, a zatém dalszy rozlew krwi zatamować. *Czwarte*, współcześni, jako to, Kwaśniewski i inni twierdzili, co i Tuczapski w swym rękopisie, wyżéj przywiedzionym, zapewnia, że Humań miał dostatek do bronienia się ludzi, oręża różnego i ammunicji, i Mładanowicz, za namową Gonty i upewnieniem podobném, jakie Lisiańscy chłopi wmówili w swego rządcę Chiczewskiego, Humań tym buntownikóm poddał, a o czém było wyżéj z opisania Tuczapskiego.

Tenże Tuczapski opowiada i to, że officer Pruski, będący za kupnem koni w Ukrainie, najdywał się wtenczas z pięćdziesięciu ludźmi w Humaniu, lecz, nie chcąc należéć do obrony, wyszedł z miasta, w tę stronę, w któréj nie było attakujących rozbójników.

Kwaśniewski zaś twierdził, iż on nie mogąc się wrócić dla ówczesnych zamięszań do swego kraju, schronił się do Humania, a widząc zamiar poddania onego buntownikóm, w nocy fórtką w palisadach będącą po jednym koniu wyprowadzić kazał, i uszedł z miasta grożącego mu utratą życia.

Młądanowicza z nieodważenia się na zabicie Gonty, wymówić może obawa nierozdrażnienia pospólstwa, lub niezupełne przekonanie się o jego winie, lecz z nieprzezorności, z wszelkich względów konieczney potrzeby zatrzymania go, jako pod podejrzenie podchodzącego, usprawiedliwionym być nie może; a zaś prócz uchybień początkowych, co może od niego i nie zależały, nieopatrzenie (jeżeli tak było) w wodę i ammunicję Humania, a tém bardziej, jeżeli te były, poddania miasta buntownikóm, są niedające się sądowi ludzkiemu usprawiedliwiać, okropną wynikłość sięgające jego błędy.

Lecz któż prócz Najwyższey Istoty jest od nich wolny? łatwiey jest ludzióm sądzić o czynach swoich wspól-śmierteluików, niżeli przewidzieć nastąpić mogące wypadki. Wszakże Młądanowicz nie chciał ginąć w tém nieszczęściu z swoją rodziną, nie chciał przeo zguby i innych tyłu tysięcy ludzi, robił,

jak człowiek, co mógł, i mylił się, jak się to nawet wielu najwyżej wzniesionym zdarzało ludziom. Miał powód zaufać Goncie; ten zaś potwór stał się rozjadlejszym nad innych dawniejszych buntowników; Chmielnickiego odebranie żony, zbicie publiczne syna i zabranie majątku, rozsrożyło i dawało mu zbliżony do słuszności powód; Gonta zaś był udobrodziejstwowany, mógł się więc Młodanowicz spodziewać, iż on przyłoży się czynnie do rozgromienia prowadzonych przez Żeleźniaka w motłochu rozbojników, a przeto zatamuje wylew krwi i spustoszenie. Znać, że los nieprzewidziany, zmięszawszy przezorność ludzką, jak się to często zdarza, dla ziszczenia swego srogiego przeznaczenia, mieć chciał, żeby szukający w Humaniu ochrony życia swego, padli zbuntowanego chłopstwa ofiarą! (*).

(*) Nie pierwszy raz Humań podpadł takiemu krwi rozlewowi. Wzięty on był za buntu Doroszeńka przez Turków. Odebrał go Jan Sobieski przez oblężenie 1674 roku, o czém czytaj Historję Jana III, przez *L'abbe Coyer Ks. IV*. Lecz i cała ta nieszczęsna kraina długo dręczona była nabiegami Tatarów i Zaporożskiemi wycieczkami. Dopiéro za panowania Katarzyny II, po zniszczeniu Zaporoża i zawładaniu przez nią, zrę

§. XIII.

Ludzkość niektórych włościan w tych okropnych czasach.

Mając przerażony umysł tylu okropnemi morderstwami nieszczęsnych ofiar, padłych pod zabójczemi rękami zażartych zbrodniarzy i spełnianemi na nich samych, a nawet posądzonych o zbrodnie, kaźniami; pocieszmy zmordowane tak nieludzkiemi zdarzeniami udręczone serce nasze, zwracając uwagę na owych wieśniaków, którzy uwieźli do siebie dwoje Mładanowicza sierot, a widząc i dalszą ich troskliwość, nabierzmy tego przekonania, że w tych prostych sercach wieśniaczych, w czasie tak strasznej zażartości, miała swój przybytek prawdziwa chrześciańska miłość bliźniego. Byłaby ona, mimo skłonnej do zepsucia natury, w sercu każdego człowieka, gdyby przez cnotliwych rodziców, mimo wytwornego wychowania i wyższych nauk, każdemu dziecięciu i w ka-

---

cznym Xięcia Potemkina obrotem Krymu, zniszczone zostały te jaskinie łotrów; ludzkość odetchnęła, a kraj ten zaczął być zamieszkanym i zagospodarzonym przez obywateli, spokojnie używających owoców prac swoich.

żdym stanie, w swojéj prawdziwéj prostocie, bez braku osób i wyznania, od kolébki wpajaną była. Widzieliśmy już tych wieśniaków, z jaką gorącością całowali nogi Gonty i Zeleźniaka, prosząc o oswobodzenie i sobie oddanie dzieci Mladanowicza, i jak ich u siebie ów stary Osadczy przechowywał; teraz spójrzyjmy, jak daléj nad niemi czuwał i wyglądał sposobnéj względem nich pory.

Po niejakim czasie (*) przyszedł do Ositny przebrany w wiejskie odzienie pisarz Mladanowicza Chmielewicz, i o sobie powiadał, że w czasie rabunku domu Mladanowicza przez wpadłe do Humania hultajstwo, dał mu stróż odzienie, w którém on wmięszawszy się między rabujących i wszystko pustoszących, dopomagał im, dla niepoznania go, rujnowania domu, i tém się ocalił. Przyniósł też wiadomość, że przyszedłszy pod Humań z wojskiem Kreczetnikow hultajstwo uskromił i zabrał; powiadał także o Szafrańskim, że widział jak się on bronił w baszcie, i ośmiu attakujących go hultai zabił, lecz gdy go ci dostali w swe ręce, wprzód męczyli, a potém zamordowali.

(*) Tak opisuje Krebsowa w swojém opisaniu.

Wkrótce nadbiegł do tejże wsi jeden z liczby rozbojników uciekający z Humania, i stwierdził Chmielewicza co do zniszczenia i zabrania hultajstwa opowiadanie, dodając, że to się stało przez zdradę.

Osadczy po tej wiadomości, zamiast przechowywania nocnego w trzcinach tych dwojga Mładanowicza dzieci, ośmielił się już przechowywać je w swym domu, sprowadził nawet i trzecie z mamką, to jest, ich brata, półroku mającego, sam zaś pojechał do Humania, i o tém co mu Chmielewicz i on uciekający opowiedzieli, przekonawszy się, za powrótem rozprowadził one sieroty do chat swoich krewnych, dla wygodniejszego dalszego ich ukrywania, zachowując na wszelki przypadek wszelką ostróżność, i zaczął się naradzać z Chmielewiczem, gdzieby one sieroty w bezpieczne mógł zawieść miejsce? a gdy najstarsza z tych sierót opowiedziała, że mają wuja w Podolu ku Kamieńcowi około Płoskirowa, więc zaczął się sposobić do możności ich odwiezienia w wymienione dopiéro miejsce.

Po zabiciu we wsi Ositnéj przez hultai Ekonoma, włościanie tamtejsi rozebrali między siebie słoninę i jagły, przygotowane dla wysłania na sprzedaż. Osadczy był pewny,

że niektórzy oddadzą one; jakoż zebrawszy ile trzy wozy podjąć mogły, przygotował one, i tak wozy układał, iżby środek w każdym był wolny, dla umieszczenia w onym po jednemu z sierot, to jest, doroślejszych po jednemu w dwóch wozach, a w trzecim mamka z dzieckiem. Do dwóch wozów dał dla pędzenia dwóch ludzi, a trzeci przebrany po czumacku Chmielewicz popędzał. Mamkę, chociaż miała męża i troje dzieci, także swoją chatę, skłonił tenże Osadczy do pojechania i do karmienia niemowlęcia. A tak upakowawszy ich w wozy i nakrywszy one łubianemi pokrywami dla ostróżności, ruszył w drogę, i aż dopiero około Tulczyna rozkrył i już na wolnem powietrzu będących wiózł do possessji ich wuja i jemu te sieroty oddał.

Czyn ten tego cnotliwego starca i wieśniaków wsi Ositny, zasługuje na pamięć w historji ludzkości. Nie w tém tylko jednem miejscu poczciwi włościanie dowodzili litościwych uczuć, zachowując nieszczęśliwym życia przez różne sposoby, których możniejsi poźniej nagradzali, lecz oni ratowali i tych, o których wiedzieli, że nie mają czém wywdzięczać się. Dowód, że ten lud prosty potrzebował tylko prostej moralności

i nietykalności wyznania; dało się albowiem uczuć, że dotknięta ta delikatna sprężyna, jakoby w zamiarze odstraszenia tylko, wydała elektryczną iskrę, wznieciwszy ogień obróciła się w pożar, coraz zwiększający się i pożerający, gdzie się tylko dotknął, wiele tysięcy ludzi, bez braku płci i wieku z ich majątkami.

Podobne poprzednicze zdarzenia, i tu, i w różnych miejscach i krajach, powinny były ostrzegać ówczesny rząd unikania takich wynikłości; lecz cóż mógł poradzić rząd ze wszelkiéj mocy ogołocony i sam zagrożony; anarchja zaś niczemu zaradzić nie może, owszem wszystko w nieładzie pogrąża. Taki to od czasów wolnych elekcij i ogołocenia stopniami ze wszelkiéj czynnéj mocy Królów, często bywał stan tego niegdyś sławnego państwa, jak nauczają jego dzieje.

§. XIV.

Szkody z tego okropnego zamięszania. Nowa klęska.

Mogący dobrze sądzić o rzeczach ówcześni światli ludzie, upewniali, że Polska w tém nieszczęsném zamięszaniu, prócz zniszczenia na wiele miljonów majątków, straciła do

dwóchkroć sto tysięcy ludności, włączając w to: zamordowanych przez buntowników, zmarłych z nędzy w tułactwie i przestrachu, oraz innych wypadków, a takoż ukaranych śmiercią buntowników, zabitych od nacierających na nich, chociaż takich była niewielka liczba; także, gdy już buntownikom nie stało Polaków i Żydów, rzucili się oni na grabież możniejszych włościan, sypali im ogień za cholewy, żeby się przyznali, gdzie mają schowane pieniądze.

W rządzie monarchicznym kilkoletnia krwawa wojna, w pewnym zamiarze prowadzona, nie kosztowałaby tyle ofiar, ile w tém anarchicznem zamięszaniu marnie i bez celu poległo; ileż to miljonów można liczyć w rozgrabionych majątkach?

Błogosławiony ten rząd, pod którego silną opieką każdy czci Twórcę swobodnie, idąc śladami ojców swoich, a razem ze wszystkiemi zasyła modły za sprawcę powszechnego szczęścia i spokojności towarzyskiéj.

Zupełnemu zaś podtenczas nieszczęściu w téj krwią ludzką zlanéj krainie, położyło koniec nastałe na wiosnę 1769 roku nowe nieszczęście, to jest, morowa zaraza, która rozszérzywszy się w Polsce, bez żadnéj ze strony rządu ostróżności i zaradzenia, zmia-

tala z liczby żyjących tysiącami ludzi, i dopiero za nastaniem zimy 1770 roku uśmierzyła się, z której podobna lub większa od powyższej liczba ludności ubyć musiała!

KONIEC.

Spis rzeczy.